KOLEKCJA LITERATURY KLASYCZNEJ

Theophile Gautier

Awatar

Theophile Gautier

AWATAR

Konwersja:

I

Nikt nie mógł zrozumieć, jaka to choroba podkopywała z wolna Oktawiusza de Saville. Nie leżał w łóżku i prowadził zwykły tryb życia; nigdy żadna skarga nie wydobyła się z jego ust, a jednak niknął w oczach. Pieczołowitość rodziny i przyjaciół zmuszała go do zasięgnięcia rady u lekarzy. Zapytywany przez nich, nie żalił się na żadne określone cierpienie i nauka nie mogła w nim odkryć żadnych niepokojących objawów; przy opukiwaniu piersi wydawały dźwięk dobry, a ucho przyłożone do jego serca zaledwie mogło zauważyć jakieś uderzenie zbyt wolne lub też zbyt przyspieszone; nie kaszlał, nie miał gorączki, ale życie uchodziło z niego i uciekało przez jedną z tych niewidzialnych szpar, których pełno w człowieku, jak mówi Terencjusz.

Czasami wskutek dziwnego omdlenia bladł i stawał się zimny jak marmur. Przez dwie albo trzy minuty można było przypuszczać, że umarł; następnie wahadło, wstrzymane tajemniczą ręką, rozpoczynało na nowo swój ruch i Oktawiusz zdawał się budzić ze snu. Posłano go do wód, ale nimfy źródeł leczniczych nie pomogły mu. Podróż do Neapolu nie osiągnęła lepszego skutku. To piękne, tak wychwalane słońce wydawało mu się czarne, jak gdyby ze sztychów Albrechta Durera; nietoperz, który na skrzydle ma napisane słowo melancholia, przecinał błyszczący błękit swoimi zapylonymi błonami i trzepotał się między światłem a nim; czuł się jak zlodowaciały na Strada Mergellina, gdzie prażą się na pół nadzy *lazzaroni* i gdzie słońce nadaje ich skórom brązową patynę.

Powrócił więc do swego małego mieszkania przy ulicy Św. Łazarza i na pozór rozpoczął swój dawny tryb życia.

Mieszkanie to urządzone było bardzo wygodnie jak na mieszkanie kawalerskie. Ale ponieważ mieszkanie biera po jakimś czasie wygląd, a może I myśli tego, który je zamieszkuje, pokoje Oktawiusza stawały się coraz smutniejsze, adamaszki firanek przybladły i przepuszczały szare już tylko światło. Wielkie bukiety piwonii więdły na przybrukanym tle kobierców; złote szlaki, bramujące kilka akwarel i parę szkiców, poczerwieniały z wolna pod nieubłaganym kurzem; ogień zniechęcony gasł i dymił pośród popiołu. Stary zegar Boule'a, wykładany miedzią i szylkretem, wstrzymywał odgłos swego tykania, a dźwięk znudzonych godzin mówił cicho, jakby w pokoju chorego; drzwi zamykały się bez hałasu, a plusze tłumiły kroki rzadkich gości; śmiech zamierał sam przez się przedarłszy się do tych ponurych, zimnych i ciemnych pokoi, gdzie przecież niczego nie brakowało z nowoczesnego zbytku. Jan, służący Oktawiusza, z miotełką pod pachą, z tacą w ręku, ślizgał się po nich jak cień, gdyż przejęty bezwiednie melancholią mieszkania stracił swoją gadatliwość. Na ścianach wisiały jako trofea: rękawice do boksu, maski i florety, ale nietrudno było odgadnąć, że już od dawna nie używano ich; otwarte i niedbale porzucone książki włóczyły się po wszystkich meblach, jak gdyby Oktawiusz chciał uśpić tą mechaniczną lekturą jakąś uporczywą myśl. Zaczęty list, którego papier już pożółkł, zdawał się wyczekiwać od miesięcy, żeby go skończono, i leżał jak niemy wyrzut na środku biurka. Mimo że zamieszkane pokoje wydawały się puste, nie było w nich życia i wchodzącego tam uderzał powiew zimnego powietrza, jakie wieje z grobowców, kiedy się je otwiera.

W tym ponurym mieszkaniu, gdzie żadna kobieta nie zabłąkała ani koniuszka swego pantofelka, Oktawiusz czuł się lepiej niż gdzie indziej — ten spokój, ten smutek i to opuszczenie odpowiadały mu. Radosny zgiełk życia przerażał go, chociaż czasami czynił wysiłki, aby się weń wmieszać; mimo to wracał jeszcze bardziej ponury z maskarad, wycieczek albo kolacji, na które ciągnęli go przyjaciele. Toteż nie walczył już więcej z tym tajemniczym bólem i przepędzał dni z

obojętnością człowieka, który nie liczy na jutro. Nie wierząc w przyszłość, nie robił żadnych planów i w skrytości posłał Bogu swoją dymisję z życia, czekając, kiedy zostanie przyjęta. Mimo to mylilibyście się, gdybyście sobie wyobrazili wychudłą i za przypadniętą twarz, ziemistą cerą, osłabione członki i wielkie zewnętrzne wyniszczenie. Co najwyżej można było zauważyć parę brunatnych plam pod powiekami, parę czerwonych odcieni wokoło oczodołów, parę bruzd na skroniach przeciętych niebieskimi żyłkami. A tylko iskra życia nie błyszczała w jego oku, z którego uleciały wola, nadzieja i pragnienie. To martwe spojrzenie w tym młodym obliczu stanowiło dziwny kontrast i wywierało bardziej przykre wrażenie niż wynędzniała twarz i błyszczące gorączką oczy, właściwe zwykłej chorobie.

Zanim zaczął słabować, Oktawiusz był, jak to się mówi, ładnym chłopcem i pozostał nim jeszcze teraz. Gęste czarne włosy, jedwabiste i połyskujące, wiły się w bujnych lokach na jego skroniach. Podłużne, ciemnoniebieskie, aksamitne oczy, ocienione zagiętymi rzęsami, świeciły czasami wilgotnym blaskiem; w spokoju, kiedy żadna namiętność nie podniecała ich, odznaczały się tą niezamąconą pogodą, jaką mają oczy ludzi na Wschodzie, gdy przed kawiarnią w Smyrnie albo w Konstantynopolu odprawiają swój *kefto* po wypaleniu nargili. Twarz jego nie miała nigdy rumieńców, a bladooliwkowa cera, która w całym swym blasku występowała dopiero przy sztucznym świetle, przypominała cery południowców. Ręka jego była zgrabna i delikatna, stopa wąska, o wąskim podbiciu. Ubierał się dobrze, ani zbyt modnie, ani zbyt staroświecko, i umiał doskonale uwydatniać swoje przyrodzone zalety. Gdyby się chciał dostać do Jockey-Klubu, nie odmówiono by mu przyjęcia, mimo iż nie był ani dandysem, ani sportowcem.

Jak to być mogło, że ten piękny i bogaty młodzieniec, mający tyle powodów do szczęścia, tak nędznie marniał? Powiecie może, że Oktawiusz był zblazowany, że modne romanse zatruły mu umysł niezdrowymi myślami, że nie miał wiary, że z jego młodości i majątku roztrwonionego na szalone orgie nie zostało

mu nic więcej jak tylko długi — wszystkie te przypuszczenia są nieprawdziwe. Nie zakosztowawszy wielu przyjemności, Oktawiusz nie mógł być nimi znudzony. Nie był ani melancholikiem, ani romantykiem, ani ateuszem, ani rozpustnikiem, ani marnotrawcą. Jego życie dotychczasowe wypełnione było nauką i rozrywkami właściwymi młodym ludziom. Rano słuchał wykładów w Sorbonie, a wieczorem stawał na schodach opery, aby zobaczyć przewalającą się kaskadę toalet. Nie posądzano go o miłość do jakiejś nieczułej dziewicy lub księżny, dochody swoje wydawał, lecz tak, aby kaprysy nie naruszały kapitału — jego notariusz szanował go. Był to więc człowiek prosty, niezdolny do rzucenia się w lodowce Manfreda lub do zapalenia piecyka młodego Escousse'a. Co do przyczyny dziwnego stanu, w którym się znajdował i który zdawał się urągać medycynie, to jest ona tak nieprawdopodobna w Paryżu w dziewiętnastym wieku, że nie śmiemy jej wyznać i pozostawiamy to samemu bohaterowi.

Ponieważ zwyczajni lekarze nie poznali się na owej dziwnej chorobie, gdyż nie krajano jeszcze dusz w amfiteatrach anatomicznych, udano się wreszcie do pewnego osobliwego doktora, który po długim pobycie powrócił z Indii i dokonywał cudownych uzdrowień.

Oktawiusz, przeczuwając wyższą przenikliwość, która była zdolna odgadnąć jego tajemnicę, zdawał się obawiać wizyty lekarza i dopiero na usilne nalegania matki zgodził się przyjąć Baltazara Cherbonneau.

Kiedy lekarz wszedł, Oktawiusz leżał na pół wyciągnięty na kanapie. Na jednej poduszce opierał głowę, na drugiej położył łokieć, trzecią przykrył nogi. Spowity w miękkie fałdy gandury, czytał, a raczej trzymał książkę, gdyż oczy, zatrzymane na jaldejś karcie, zdawały się nie patrzeć. Twarz jego była blada, ale jak już powiedzieliśmy, nie widać było na niej zbyt wielkiej zmiany. Powierzchowna obserwacja nie dopatrzyłaby się niebezpieczeństwa u tego młodego chorego, u którego na stoliku stało pudełko z papierosami zamiast flakonów, słoików, ziółek i innych lekarstw stosowanych w takich wypadkach. Jego czyste,

chociaż nieco zmęczone rysy, nie straciły nic ze swego wdzięku i gdyby nie głęboki bezwład i spojrzenie pełne nieuleczalnej rozpaczy, Oktawiusz wydawałby się człowiekiem zupełnie zdrowym.

Osobliwy wygląd lekarza uderzył Oktawiusza pomimo całej jego obojętności. Baltazar Cherbonneau wyglądał jak postać wyrwana z fantastycznej opowieści Hoffmanna i przechadzająca się wśród rzeczywistości, zdziwionej widokiem tej uciesznej figury. Jego silnie opalona twarz znikała pod ogromną czaszką, która z powodu łysiny wydawała się jeszcze większa. Ta naga, gładka jak kość słoniowa czaszka zachowała biały odcień, gdy tymczasem twarz, wystawiona na promienie słońca, przybrała, dzięki pokładom opalenizny, ton drzewa dębowego albo zakopconego portretu. Wszystkie płaszczyzny oraz wypukłości i wklęsłości kostne występowały tak silnie, że niewielka warstwa ciała, która je przykrywała, wyglądała z powodu tysiącznych zmarszczek jak zmoczona skóra nałożona na głowę zmarłego. Rzadkie szpakowate włosy, błąkające się jeszcze w tyle głowy, zebrane w trzy cienkie kosmyki, z których dwa wznosiły się nad uszami, a trzeci sięgał od karku aż do czoła, koronowały cudacznie dziwną twarz tego dziadka do orzechów, budząc żal za staroświecką peruką albo za nowoczesnymi, rozczochranymi nad czołem lokami. Ale co najbardziej zaciekawiało u tego lekarza, to jego oczy. W tej twarzy pooranej wiekiem, ogorzałej pod nieubłaganym słońcem, zużytej nauką, w której zmęczenie życiem i wiedzą zapisało się głębokimi bruzdami, kurzymi łapkami, rozchodzącymi się w promieniach zmarszczkami, bardziej zwartymi niż karty książki, błyszczały dwie turkusowe źrenice o niepojętej przezroczystości, młodości i świeżości. Te błękitne gwiazdy błyszczały w głębi brunatnych oczodołów i błon, których płowe koła przypominały z lekka pióra ułożone w aureoli dookoła źrenic sów widzących w ciemnościach. Można by powiedzieć, że wskutek jakiejś czarodziejskiej sztuczki podpatrzonej u braminów i pandytów Baltazar Cherbonneau ukradł oczy dziecka i przystosował je do swej trupiej twarzy.

Spojrzenie starca wskazywało na lat dwadzieścia, spojrzenie młodzieńca na lat sześćdziesiąt.

Baltazar Cherbonneau ubrany był w klasyczny kostium lekarzy: frak i spodnie z czarnego sukna, jedwabna kamizelka tego samego koloru, a przy koszuli wielki brylant, dar jakiegoś radży albo nababa. Ale to ubranie chwiało się, jak gdyby było zawieszone na wieszadle,. i tworzyło prostopadłe fałdy, a kiedy lekarz siadał, załamywało się pod ostrymi kątami na kościach udowych i na piszczelach. Do wytworzenia tej zadziwiającej chudości nie byłoby wystarczyło samo prażące słońce Indii. Prawdopodobnie Baltazar Cherbonneau poddał się w celu jakiegoś wtajemniczenia długim postom fakirów i pewien czas spędził wśród jogów, siedząc na skórze gazeli między czterema żarzącymi się paleniskami. Ale ten ubytek materii nie sprowadził żadnego osłabienia. Silne wiązadła, naprężone na rękach jak struny na szyjce skrzypiec, łączyły wychudłe kości członków i umożliwiały im poruszanie się bez zbytniego chrzęstu.

Oktawiusz wskazał ręką na krzesło stojące obok kanapy; lekarz usiadł na nim, poruszając łokciami, podobnie jak to się dzieje przy rozkładaniu metra, i czyniąc ruchy, które wskazywały na zakorzeniony zwyczaj siadania na matach. Tak usiadłszy, Baltazar Cherbonneau odwrócony był tyłem do światła, które padało wprost na twarz chorego. Pozycja ta odpowiednia była do badania i chętnie ją przybierają obserwatorowie, chcący raczej coś widzieć, niż być widzianymi. Mimo że twarz lekarza pogrążona była w cieniu, a tylko na szczycie czaszki, połyskującej i zaokrąglonej jak olbrzymie strusie jajo, błyszczał promień światła, Oktawiusz dostrzegał migotanie dziwnych, błękitnych źrenic, które wydawały się obdarzone błyskami właściwymi ciałom fosforyzującym. Ostry i jasny promień strzelający z nich i padający prosto na pierś młodego chorego wywoływał w nim wrażenie lekkiego kłucia i gorąca, jak gdyby po zażyciu emetyku.

— Otóż — rzekł lekarz po chwili milczenia, podczas którego zdawał się zbierać oznaki, zauważone w swym krótkim badaniu

— widzę już, że nie mamy tu do czynienia ze zwykłą chorobą; nie ma pan żadnej z tych chorób zakatalogowanych, o dobrze znanych objawach, które lekarz uzdrawia lub pogarsza, i kiedy pomówię z panem kilka minut, nie zażądam papieru, aby na nim napisać błahą formułkę z Kodeksu, pod którą położę hieroglificzny podpis i którą pański służący zaniesie do pobliskiej apteki.

Oktawiusz uśmiechnął się lekko, jak gdyby chciał podziękować lekarzowi za to, że go nie będzie nużył zbytecznymi lekarstwami.

— Ale — ciągnął dalej lekarz — nie trzeba się cieszyć za wcześnie. Chociaż pan nie ma ani otłuszczenia serca, ani tuberkułów płuc, ani rozmiękczenia rdzenia kręgowego, ani wodogłowia, ani tyfusu, ani żadnej choroby nerwowej, to z tego nie wynika jeszcze, że jest pan zupełnie zdrowy. Podaj mi pan rękę.

Myśląc, że Cherbonneau chce mu zbadać puls, i spodziewając się, że wyciągnie zegarek, Oktawiusz odwinął rękaw swej gandury, obnażył rękę i machinalnie podał ją lekarzowi. Nie szukając dużym palcem przyspieszonego lub powolnego bicia, które wskazuje, czy zegar życia człowieka jest popsuty, Cherbonneau ujął w swą brunatną łapę, której kościste palce przypominały szczypce kraba, delikatną, żyłkowatą i wilgotną rękę młodzieńca; zbadał ją, obmacał, wygniótł i wymiesił, jak gdyby chciał wejść w związek magnetyczny z chorym. Oktawiusz, aczkolwiek sceptyczny na punkcie medycyny, nie mógł się obronić przed dziwnym strachem i krew uciekła mu z twarzy, ponieważ zdawało, mu się, że lekarz dotknięciem swoim wydziera mu duszę.

— Drogi panie Oktawiuszu — rzekł lekarz puszczając rękę młodzieńca — pański stan jest groźniejszy, niż pan myśli, a nauka, przynajmniej taka, jaką praktykuje stara europejska rutyna, nic tu nie pomoże. Pan nie ma chęci do życia, a pańska dusza uwalnia się niepostrzeżenie z pańskiego ciała. Nie ma u pana ani hipochondrii, ani melancholii, ani skłonności do samobójstwa. Nie… Wypadek rzadki i ciekawy, mógłby pan,

gdybym się nie sprzeciwił, umrzeć bez żadnych określonych zewnętrznych czy wewnętrznych dolegliwości. Czas był, żeby mnie zawezwać, gdyż tylko słaba nitka trzyma ducha w ciele, ale my zrobimy na niej gruby węzeł. — I lekarz zatarł ochoczo ręce, wykrzywiając twarz w uśmiechu, który wywołał istny rój zmarszczek na tysiącznych fałdach jego skóry.

— Panie Cherbonneau, nie wiem, czy mnie pan wyleczy, do czego zresztą nie mam żadnej ochoty, ale muszę przyznać, że od razu przeniknął pan przyczynę dziwnego stanu, w jakim się znajduję. Zdaje mi się, jak gdyby moje ciało stało się przepuszczalne, moje ja uciekało z niego tak jak woda przez sito. Czuję, że się roztapiam we" wszechbycie, z trudem odróżniam siebie od świata, w który się zapadam. Życie, którego — o ile tylko mogę — odgrywam zwykłą pantomimę, aby nie martwić krewnych i przyjaciół, wydaje mi się tak dalekie ode mnie, że są chwile, w których zdaje mi się, jak gdybym już opuścił sferę ziemską; ruszam się tu i tam dla przyczyn, które mną dawniej kierowały i których mechaniczny popęd trwa dalej, ale nie biorę udziału w tym, co czynię. Siadam do stołu o zwykłych godzinach i wydaje się, jakobym jadł i pił, mimo że nie czuję smaku w najostrzej przyprawionych potrawach i w najmocniejszych winach. Światło słońca wydaje mi się blade jak światło księżyca, a świece mają czarne płomienie. Zimno mi w najgorętsze dni letnie; czasami nastaje we mnie tak wielkie milczenie, jak gdyby moje serce nie biło więcej i jak gdyby wewnętrzny mechanizm wstrzymany był z niewiadomej przyczyny. Jeśli zmarli mogliby określić śmierć, ten stan musiałby być podobny do niej.

— Pan jest dotknięty — odparł lekarz — chroniczną niezdolnością do życia, chorobą czysto moralną i częstszą, niż nam się wydaje. Myśl jest także siłą, która może zabić jak kwas pruski, jak iskra z butelki lejdejskiej, chociaż ślad jej spustoszeń nie jest uchwytny dla słabych środków analizy, którymi rozporządza pospolita wiedza. Jakiż to smutek zagłębił swój zakrzywiony dziób w pańskiej wątrobie? Z jakichże to wyżyn tajemnych ambicji spadł pan rozbity i zmiażdżony? Jakąż to

gorzką rozpacz przetrawia pan w nieruchomości? Czy to pragnienie władzy dręczy pana? Czy z własnej ochoty zrzekł się pan zamiarów leżących poza możnością ludzką? Jest pan za młody na to. Zdradziła pana kobieta?

— Nie, panie — odrzekł Oktawiusz — nie mam nawet tego szczęścia.

— A mimo to — podjął Baltazar Cherbonneau — w pańskich zamglonych oczach, w zniechęconych ruchach ciała, w głuchym dźwięku pańskiego głosu czytam tak jasno tytuł jednej Szekspirowskiej sztuki, jak gdyby był on wyryty złotymi literami na grzbiecie safianowej oprawy.

— A jakaż to jest ta sztuka, którą nieświadomie tłumaczę? — zapytał Oktawiusz z budzącą się mimo jego woli ciekawością.

— *Love's Labour's Lost* — ciągnął dalej lekarz czystym akcentem, który zdradzał długi pobyt w angielskich posiadłościach w Indiach.

— To ma znaczyć, jeżeli się nie mylę, *Stracone zachody miłości.*

— Właśnie.

Oktawiusz nie odpowiedział, lekki rumieniec pokrył jego twarz. Dla dodania sobie odwagi zaczął się bawić chwastem od sznura, którym był opasany. Lekarz założył nogę na nogę, co robiło wrażenie kości złożonych na krzyż, które się widuje wyryte na grobowcach, i ujął ręką stopę na sposób orientalny. Jego niebieskie oczy pogrążyły się w oczach Oktawiusza i zapytywały je spojrzeniem rozkazującym i łagodnym.

— Proszę, niech mi się pan zwierzy — rzekł Baltazar Cherbonneau — ja jestem lekarzem dusz, pan jest moim chorym, a tak jak ksiądz katolicki od swego penitenta, ja również wymagam od pana generalnej spowiedzi, którą może pan uczynić bez klękania.

— Po co? Nawet gdyby pan odgadł, to opowiadanie o moich cierpieniach nie złagodzi ich. Mój smutek nie jest gadatliwy, żadna potęga ludzka, nawet pańska, nie zdoła mnie uleczyć.

— Być może — rzekł lekarz, układając się wygodniej w fotelu, jak człowiek, który przygotowuje się do wysłuchania dłuższej

spowiedzi.

— Nie chcę — mówił dalej Oktawiusz — żeby mnie pan posądzał o dziecinny upór, i przez moje milczenie nie chcę dać panu sposobności do obmycia rąk z wszelkiej winy na wypadek mego zgonu; opowiem panu swoją historię, jeśli panu tak bardzo o to chodzi. Podkład jej odgadł pan, a więc i szczegółów nie zataję przed panem. Nie oczekuj pan niczego szczególnego ani romantycznego. Jest to bardzo stara, bardzo pospolita i bardzo szara przygoda, ale, jak mówi piosenka Heinego, ten, którego spotyka, uważa ją zawsze za nową i serce mu pęka z bólu. Doprawdy, wstyd mi powiedzieć coś tak pospolitego człowiekowi, który żył w najciekawszych i najfantastyczniejszych krajach.

— Proszę się nie obawiać, jedynie tylko pospolite rzeczy są dla mnie osobliwe — rzekł z uśmiechem lekarz. — A więc, doktorze, umieram z miłości.

II

— Bawiłem we Florencji w roku 184..., pod koniec lata, to jest w najpiękniejszej porze do zwiedzania Florencji. Miałem czas, pieniądze, doskonałe listy polecające i byłem wówczas młodzieńcem wesołego usposobienia, nie żądającym niczego innego, tylko zabawy. Zamieszkałem nad brzegiem Arna, wynająłem powóz i wżyłem się w to słodkie florenckie życie, które ma tyle uroku dla cudzoziemca. Rankiem szedłem zwiedzać jakiś kościół, pałac lub galerię, wedle upodobania, nie spiesząc się, nie pragnąc nabawić się niestrawności z powodu arcydzieł, które we Włoszech przyprawiają o mdłości zbyt pochopnego turystę. Raz oglądałem brązowe drzwi baptysterium, to znowu *Perseusza* Benvenuta w loggia dei Lanzi, portret Fornariny w Ufficjach albo *Wenus* Canovy w pałacu Pitti, ale nie więcej jak jeden przedmiot na raz. Następnie jadłem śniadanie w kawiarni „Doney", wypijałem mrożoną kawę, paliłem cygara, przeglądałem dzienniki, ozdabiałem butonierkę z własnej ochoty albo zmuszony przez piękne kwiaciarki stojące przed kawiarnią, ubrane w wielkie słomkowe kapelusze, i wracałem do domu na sjestę. O trzeciej godzinie zajeżdżał powóz i zabierał mnie do Cascine. Cascine są we Florencji tym, czym Lasek Buloński w Paryżu, z tą różnicą, że wszyscy się znają i że „rondo" jest salonem na wolnym powietrzu, gdzie zamiast foteli są powozy zatrzymane i ustawione w półkole. Kobiety w pięknych toaletach, na pół leżąc na poduszkach, przyjmują wizyty starających się o względy kochanków, dandysów, urzędników ambasady, którzy z kapeluszem w ręku stoją przy stopniach powozu. Ale pan to równie dobrze zna jak ja. Tam się tworzą projekty na wieczór, tam się wyznacza schadzki, tam się daje odpowiedzi, przyjmuję

zaproszenia. Jest to jak gdyby giełda rozkoszy, która trwa od trzeciej do piątej w cieniu pięknych drzew, pod najsłodszym niebem na świecie. Każdy zamożniejszy człowiek jest obowiązany ukazać się codziennie w Cascine. Nigdy o tym nie zapominałem, a wieczorem, po obiedzie, składałem wizyty albo szedłem do opery, jeśli śpiewaczka była godna zachodu.

Tak spędziłem jeden z najszczęśliwszych miesięcy w moim życiu, ale to szczęście niedługo miało trwać. Wspaniała karoca ukazała się pewnego dnia w Cascine. Ten okazały wytwór wiedeński, arcydzieło Laurenziego, połyskujący lakierem, mówiący o przeszłości królewską prawie tarczą herbową, zaprzężony był w najpiękniejszą parę koni, jaka kiedykolwiek parskała w Hyde Parku albo w Saint James na dworze królowej Wiktorii. Młodziutki dżokej w spodniach z białej skóry i w zielonym kaszkiecie powoził a la Daumont w sposób najbardziej poprawny. Mosiądz uprzęży, koła, klamki u drzwiczek błyszczały jak ze złota i rzucały w słońcu błyskawice. Wszystkie spojrzenia biegły za tym wspaniałym ekwipażem, który, zakreśliwszy na piasku regularne, jakby cyrklem wymierzone koło, przystanął obok innych powozów. Kareta nie była pusta, jak się pan domyśla, ale w szybkim ruchu można było rozróżnić tylko koniec bucika wysuniętego na przednie siedzenie, szeroki fałd szala i dysk parasolki obszytej frędzlami z białego jedwabiu. Parasolka zamknęła się i ujrzano kobietę jaśniejącą nieporównaną pięknością. Byłem na koniu i mogłem się przybliżyć tak, aby nie stracić ani jednego szczegółu z tego arcydzieła ludzkiego. Cudzoziemka miała na sobie zieloną suknię o tym zimnym, srebrnym odcieniu, w którym każda kobieta, nie mająca nieskazitelnej cery, wygląda jak kret — zuchwałość blondynki pewnej siebie. Wielki biały szal z *crepe de Chine,* cały pogarbiony od haftów w tym samym kolorze, owijał ją swą delikatną, miętą w małe fałdziki draperią niby tuniką Fidiasza. Aureolę twarzy stanowił kapelusz z najcieńszej florenckiej słomki, ukwiecony niezapominajkami i drobnymi wodnymi roślinami o wąskich modrych liściach; jedyną ozdobą

była złota jaszczurka wysadzana turkusami, która okalała rękę trzymającą kościaną rączkę od parasolki.

Wybacz, kochany doktorze, ten opis z żurnala mód kochankowi, dla którego te drobne wspomnienia nabierają ogromnej wagi. Obfite, wijące się sploty blond włosów, których karby tworzyły jakby fale świateł, spływały po obu stronach jej czoła bielszego od najczystszego dziewiczego śniegu, który spadł nocą na najwyższym szczycie Alp. Rzęsy długie i oddzielone jak złote nitki, które średniowieczni miniaturzyści rozświetlają wokoło głów swych aniołów, na pół osłaniały jej niebieskozielonawe źrenice, podobne do tych błysków, które migotają na lodowcach przy pewnych efektach słońca. Usta jej o boskim rysunku jaśniały tą barwą purpurową, którą wycieniowane są muszle Wenery, a policzki przypominały nieśmiałe, białe róże, które zalałyby się rumieńcem na wyznanie słowika lub pocałunek motyla. Żaden pędzel ludzki nie zdołałby oddać gładkości, świeżości i bezcielesnej przejrzystości tej cery, której kolorów niepodobna było przypisać pospolitej krwi, jaka zabarwia nasze fibry. Jedynie tylko pierwsze rumieńce zorzy na szczytach Sierra Nevada, cielista barwa białej kamelii na brzegu płatków, marmur paryjski oglądany poprzez welon z gazy różowej mogą dać dalekie pojęcie o tej cerze. Kawałeczek szyi, widoczny między wstążkami kapelusza a szalem, jaśniał białością mleczną, nieokreślonymi refleksami opalu. Ta twarz promienna nie przykuwała z początku rysunkiem, lecz kolorytem, jak piękne twory szkoły weneckiej, chociaż rysy były równie czyste i delikatne jak profile antycznych kamei rżniętych w agacie.

Jak Romeo na widok Julii zapomina o Rozalindzie, tak i ja, ujrzawszy tę piękność nieporównaną, zapomniałem o dawnych miłostkach. Karty mego serca stały się na powrót białe, znikło wszelkie nazwisko, znikły wszelkie wspomnienia. Nie pojmowałem, jak mogłem znajdować jakąś przyjemność w tych pospolitych stosunkach, których żaden prawie młodzieniec uniknąć nie może, i wyrzucałem je sobie jak karygodne

wiarołomstwo. Od tego fatalnego spotkania rozpoczęło się dla mnie nowe życie.

Powóz odjechał z Cascine drogą do miasta, unosząc olśniewającą wizję. Zrównałem mego wierzchowca z koniem młodego, bardzo uprzejmego Rosjanina, wielkiego bywalca u wód, znanego we wszystkich salonach kosmopolitycznych Europy, który znał dokładnie wszystkie podróżujące osobistości ze sfer wyższych. Zacząłem mówić o nieznajomej i dowiedziałem się, że jest to hrabina Praskowia Łabińska, Litwinka, pochodząca ze znakomitego i bardzo możnego domu, której mąż był od dwóch lat na wojnie kaukaskiej.

Nie będę panu opowiadał, ile wysiłków dyplomatycznych trzeba było użyć, aby być przyjętym u hrabiny, która w czasie nieobecności męża unikała nowych znajomości. Wreszcie zostałem przyjęty, dwie księżne i cztery baronowe w starszym wieku odpowiadały za mnie swoją antyczną cnotą.

Hrabina Łabińska wynajęła pół mili od Florencji wspaniałą willę, należącą niegdyś do SaMatich, i w kilku dniach potrafiła wprowadzić do starej siedziby wygodę nowoczesną, nie naruszając w niczym jej surowego piękna i poważnej wytworności. Wielkie kotary z herbami łączyły się szczęśliwie z ostrołukowymi sklepieniami, fotele i meble starodawne harmonizowały ze ścianami pokrytymi brunatną boazerią lub freskami o tonach bladych i przygasłych jak barwy starych gobelinów; żadna świeża barwa ani złoto zbyt błyszczące nie drażniło oka i teraźniejszość nie rozbrzmiewała tonem fałszywym pośród przeszłości. Hrabina była jakby urodzoną kasztelanką i zdawało się, jakoby ten stary pałac był umyślnie dla niej zbudowany.

Jeśli byłem oczarowany promieniejącą pięknością hrabiny, to po kilku wizytach byłem bardziej jeszcze porwany jej umysłem niezwykłym, wytwornym, a tak wszechstronnym. Kiedy mówiła o czymś interesującym, dusza jej przebijała — że tak powiem — przez skórę i stawała się widoczna. Białość jej rozświetlała się jak alabaster lampy od promienia wewnętrznego. W cerze jej były te migotania fosforyzujące, te drgnienia świetlne, o jakich

mówi Dante malując wspaniałości raju. Można było powiedzieć: anioł odcinający się jasno na słońcu. Byłem bez przerwy w stanie zachwytu, ekstazy i ogłupienia. Kiedy, pogrążony w kontemplacji jej piękności i oczarowany brzmieniem jej niebiańskiego głosu, który z każdego języka czynił niewypowiedzianą muzykę, musiałem czasami ,coś odpowiedzieć, jąkałem parę słów bez związku, co zapewne dało jej bardzo mizerne wyobrażenie o mojej inteligencji, Czasami nawet, jeśli zdarzyło mi się wypowiedzieć jakieś zdanie świadczące o moim głębokim zmieszaniu lub p nieuleczalnej głupocie, niedostrzegalny uśmiech przyjacielskiej ironii przebiegał po rozkosznych wargach niby różowe światełko.

Jeszcze jej nic nie powiedziałem o mej miłości, w obecności jej byłem pozbawiony myśli, siły, odwagi, serce mi biło tak, jak gdyby chciało wyskoczyć z piersi i rzucić się do stóp swej pani. Dwadzieścia razy postanawiałem uczynić wyznanie, ale wstrzymywała mnie niepokonana nieśmiałość. Każda chłodna lub obojętna mina hrabiny wprawiała mnie w śmiertelną trwogę, jaką tylko odczuwają skazańcy w chwili, kiedy czekają z głową na pniu, aż błyskawica topora przetnie im szyję. Dusiły mnie skurcze nerwowe, poty lodowate oblewały moje ciało. Czerwieniłem się, bladłem i wychodziłem, nie powiedziawszy nic, trudem znajdując drzwi i zataczając? się jak pijany na stopniach schodów.

Na ulicy powracały mi siły i poczynałem rzucać na wiatr najgorętsze dytyramby. Zwracałem do nieobecnego bóstwa tysiące oświadczeń pełnych nieprzepartej wymowy. W tych niemych apostrofach dorównywałem wielkim poetom miłości. *Pieśń nad* pieśniami Salomona z jej zawrotnym zapachem orientalnym i tym liryzmem pełnym omamu haszyszowego, sonety Petrarki z ich subtelnościami platonicznymi i delikatnościami nieuchwytnymi, *Intermezzo* Heinego z jego wrażliwością nerwową i majaczącą są niczym w porównaniu do nie wysychających wylewów duszy, w których wyczerpywało się moje życie. Pod koniec każdego z tych monologów zdawało mi się, że hrabina, pokonana, powinna

spłynąć z nieba na moje serce i nieraz krzyżowałem na piersi ramiona myśląc, że ją obejmuję.

Byłem tak opętany, że całymi godzinami szeptałem niby litanię miłosną te dwa słowa: „Praskowia Łabińska", znajdując nieokreślony czar w owych zgłoskach, już to przesiewanych z wolna niby perły, już to wyławianych z gorączkową płynnością dewota, uniesionego własną modlitwą. Innym razem pisałem uwielbiane imię na najpiękniejszych kartach welinowych, ozdabiając je wymysłami kaligraficznymi z rękopisów średniowiecznych, retuszami złotymi, winietami lazurowymi, deseniami z gałązek zielonych, Praca ta, pełna namiętnej drobiazgowości i dziecinnej dokładności, pochłaniała mi długie godziny dzielące moje wizyty u hrabiny. Nie mogłem ani czytać, ani zająć się czymkolwiek. Nic mnie nie obchodziło oprócz Praskowii i nawet nie otwierałem listów, , które dostawałem z Francji. Kilkakrotnie starałem się otrząsnąć z tego stanu, próbowałem przypomnieć sobie reguły uwodzenia przyjęte przez młodych ludzi, podstępy używane przez Valmontów z kawiarń paryskich i Don Juanów z Jockey-Klubu, ale do wykonania brakowało mi odwagi i żałowałem, że jak Julian Sorel Stendhala nie miałem paczki listów do kopiowania, ażeby je posyłać hrabinie. Zadowalałem się tylko tym, że kocham, oddając się w zupełności, nie żądając niczego nawzajem, bez żadnej, choćby nawet dalekiej nadziei, gdyż w moich najzuchwalszych marzeniach pozwalałem sobie najwyżej dotknąć ustami koniuszków różanych palców Praskowii. Młody nowicjusz w piętnastym stuleciu, bijący czołem o stopnie ołtarza, rycerz klęczący w sztywnej zbroi nie mogli mieć dla Madonny bardziej kornego uwielbienia.

Baltazar Cherbonneau, który słuchał Oktawiusza z wielką uwagą, gdyż opowiadanie młodzieńca było dla niego nie tylko historią miłosną, rzekł jak gdyby do siebie podczas przerwy w opowiadaniu:

— Tak, to są objawy miłości — namiętności, ciekawej choroby, którą raz tylko zdarzyło mi się spotkać w Czandernagor u młodej *paria* zakochanej w braminie; umarła biedaczka, ale to

była istota dzika, pan jesteś cywilizowany i postaramy się uleczyć pana.

Skończywszy mówić, dał znak Oktawiuszowi, że może opowiadać dalej, i okręciwszy nogę wokół uda niby łapkę członkowatą szarańczy w ten sposób, aby móc oprzeć brodę na kolanie, znieruchomiał w tej pozie, niemożliwej dla kogoś innego, która jednak wydawała się osobliwie wygodna dla niego.

— Nie chcę pana nudzić szczegółami mojego ukrytego męczeństwa — mówił Oktawiusz — przechodzę do sceny decydującej. Pewnego razu, nie mogąc opanować gwałtownego pragnienia ujrzenia hrabiny, wybrałem się z wizytą wcześniej niż zazwyczaj. Dzień był pochmurny i ciężki. Hrabiny nie było w salonie. Znalazłem ją pod portykiem, podtrzymywanym przez smukłe kolumny i wychodzącym na taras, przez który schodziło się do ogrodu. Kazała tam przenieść fortepian, kanapę i krzesła trzcinowe. Wazony, pełne wspaniałych kwiatów — nigdzie nie ma tak świeżych i wonnych jak we Florencji — stały między kolumnami i przepajały swym zapachem rzadkie powiewy wietrzyka, idące od Apeninów. Przez arkady widać było cisy i strzyżone bukszpany ogrodu, z którego wystrzelały gdzieniegdzie stuletnie cyprysy. Mieszkańcami ogrodu były marmury mitologiczne w niespokojnym stylu Baccia Bandinellego i Bartolomea Ammanati. W głębi, ponad sylwetką Florencji, widniała katedra Santa Maria del Fiore i wznosiła się kwadratowa wieża nad Palazzo Vecchio.

Hrabina była sama, spoczywała na kanapce trzcinowej i nigdy jeszcze nie wydała mi się tak piękna. Jej ciało ułożone miękko, znużone upałem, pływało jak ciało jakiejś nimfy morskiej w białej pianie luźnej szaty z muślinu indyjskiego, przybranej od góry do dołu obszyciem marszczonym, jak srebrzysty rąbek fali. Emaliowana broszka z Korassanu spinała na piersi tę suknię, równie lekką jak draperia spływająca z posągu Nike zawiązującej sandał. Rękawy, otwarte od łokcia niby słupki w kielichu kwiatu, odsłaniały ręce bielsze od

alabastru, w którym rzeźbiarze florenccy wykuwają kopie posągów antycznych. Szeroka czarna wstążka związana w pasie, której końce opadały, przecinała ostro całą tę biel. Wszystko, co w tym kontraście odcieni przypisywanych żałobie mogłoby być smutne, rozweselone było dzióbkiem czerkieskiego pantofelka z błękitnego safianu, bez napiętka; pantofelek ten, wyciskany w żółte arabeski, wyzierał spod dolnych fałdów muślinu.

Jasne włosy hrabiny, których puszyste pukle, jak gdyby podniesione powiewem, odkrywały jej czyste czoło i przezroczyste skronie, tworzyły rodzaj nimbu, gdzie światło migotało złotymi iskierkami.

Na krześle obok niej drżał, poruszany wiatrem, szeroki kapelusz ze słomki ryżowej, przybrany długimi, czarnymi wstążkami, podobnymi do wstążek u sukni, i leżała para nie używanych rękawiczek z duńskiej skórki. Zobaczywszy mnie, Praskowia zamknęła książkę, którą czytała — poezje Mickiewicza — i przyjaźnie skinęła głową. Była sama — okoliczność korzystna i rzadka. Usiadłem naprzeciwko niej na krześle, które mi wskazała. Przez kilka minut panowało między nami przykre, przeciągające się milczenie. Nie byłem w stanie znaleźć ani jednego banalnego słowa, w głowie miałem zawrót, fale płomienne buchały mi z serca do oczu, a miłość moja wołała: „Nie trać tej ostatniej sposobności”.

Nie wiem, co by się stało, gdyby hrabina, domyślając się przyczyn mojego zmieszania, nie podniosła się do połowy, wyciągając ku mnie piękną swą rękę, jak gdyby dla zamknięcia mi ust.

„Ani słowa, panie Oktawiuszu, pan mnie kocha, ja wiem, czuję to i wierzę; nie gniewam się na pana, gdyż miłość nie zależy od nas. Inne, bardziej surowe kobiety obraziłyby się, ja pana żałuję, gdyż nie mogę pana pokochać i przykro mi być przyczyną pańskiego nieszczęścia. Żałuję, że mnie pan spotkał, i przeklinam kaprys, który mi kazał opuścić Wenecję dla Florencji. Myślałam z początku, że mój nieustanny chłód zniechęci i oddali pana, ale prawdziwa miłość, której wszystkie

cechy widzę w oczach pana, nie zraża się niczym. Nie chcę, żeby łagodność moja zrodziła w panu jakieś złudzenia lub marzenia i proszę nie brać mojej litości za zachętę. Anioł z tarczą diamentową, z mieczem ognistym strzeże mnie przed wszelką pokusą lepiej niż religia, lepiej niż obowiązek, lepiej niż cnota, a tym aniołem jest miłość moja: uwielbiam mego męża. Mam to szczęście, że znalazłam miłość w małżeństwie".

Na to wyznanie tak szczerej tak otwarte i pełne szlachetnej wstydliwości potok łez trysnął z moich oczu i uczułem, jak łamie się we mnie sprężyna życia...

Praskowia, wzruszona, podniosła się i ruchem pełnym uroczej litości kobiecej otarła mi oczy chusteczką batystową: „Proszę nie płakać — rzekła — zabraniam panu. Staraj się pan myśleć o czym innym, wyobraź pan sobie, że wyjechałam raz na zawsze, że umarłam, zapomnij o mnie. Wybierz się pan w podróż, pracuj pan, mieszaj się pan czynnie do życia ludzkiego, pociesz się pan sztuką albo inną miłością..."

Zaprzeczyłem ruchem.

„Sądzi pan, że będzie pan mniej cierpiał widując mnie w dalszym ciągu? — mówiła hrabina. — Więc odwiedzaj ginie pan, zawsze pana przyjmę. Bóg Kazał nam przebaczać nieprzyjaciołom, dlaczego mielibyśmy gorzej obchodzić się z tymi, co nas kochają? Mimo to wyjazd wydaje mi się lekarstwem pewniejszym. Po dwóch latach będziemy mogli uścisnąć sobie ręce bez niebezpieczeństwa, dla pana" — dodała usiłując uśmiechnąć się.

Nazajutrz wyjechałem z Florencji, ale" ani praca, ani podróże, ani czas nie zmniejszyły mego cierpienia i czuję, że umieram. Nie staraj się pan przeszkodzić temu, panie doktorze!

— Czy po powrocie widział pan hrabinę Praskowię Łabińską? — zapytał lekarz, którego oczy dziwnie błyszczały.

— Nie — odparł Oktawiusz — ale wiem, że jest w Paryżu. — I podał Baltazarowi Cherbonneau kartę, na której wyryte było:

„Hrabina Praskowia Łabińska przyjmuje w czwartki".

III

Między rzadkimi wówczas przechodniami, którzy podążali na Pola Elizejskie wzdłuż avenue Gabriel od ambasady tureckiej aż do Elysśe Bourbon, przenosząc ponad tumany kurzu i wytworny zgiełk głównej alei ciszę i spokojną świeżość tej drogi, wysadzanej z jednej strony drzewami, Z drugiej — zamkniętej ogrodami, mało było takich, co by się nie zatrzymali w zamyśleniu i z uczuciem podziwu zmieszanym z radością przed poetycznym i tajemniczym zakątkiem, gdzie, o dziwo, bogactwo zdawało się ukrywać szczęście.

Komu nie zdarzyło się przystanąć w drodze przed kratą parku i poprzez gęste krzewy spoglądać długo na białą willę, i odejść z ciężkim sercem, jak gdyby za tymi ścianami ukrywało się marzenie życia? Przeciwnie, inne domostwa, widziane z zewnątrz, napawają nieokreślonym smutkiem; nuda, opuszczenie, zwątpienie mrożą fasadę szarymi cieniami, żółkną od tego na pół łyse wierzchołki drzew; posągi pokrywają się trądem mchu, kwiaty więdną, woda w sadzawce zielenieje, ścieżki mimo gracowania zarastają chwastami, ptaki, jeśli są, milkną.

Ogrody, biegnące w dół alei, przedzielone były wilczymi dołami i ciągnęły się w mniej lub więcej szerokich pasach aż do pałaców, których fasady wychodziły na Faubourg Saint-Honore. Ten, o którym mówimy, kończył się przy rowie nasypem podtrzymywanym przez mur z grubych skał, wybranych dla ich dziwacznej nieregularności kształtów i które, wznosząc się po obu stronach w formie kulis, obramiały swą ciemną chropowatą masą świeży i zielony pejzaż ściśnięty pośrodku.

W zagłębieniach tych skał kaktus, trojeść bladoróżowa, dziurawiec, skalnica, wyżlin, rozchodnik, firletka alpejska,

bluszcz irlandzki znajdowały dość ziemi, aby żywić swe korzonki, i odcinały się swą różnoraką zielenią na sinym tle kamienia. Żaden malarz nie mógłby znaleźć lepiej kontrastującego zestawienia na pierwszym planie swego obrazu.

Boczne ściany tego raju ziemskiego znikały pod zasłoną roślin pnących, kokornaku, passiflory błękitnej, dzwonków, powoju, łyszczycy, glicynii chińskiej, obwojnika greckiego, których korzenie, wąsy i łodygi czepiały się kratek zielonych, gdyż nawet szczęście nie lubi być więzione; dzięki temu rozłożeniu ogród ten wydawał się raczej polanką leśną niż ciasnym kwietnikiem ujętym w ramy cywilizacji.

Nieco w głębi poza masywem groty, wykładanej muszlami i kamykami, ugrupowane były bukiety drzew o pniu wytwornym i silnym ulistnieniu, których zieleń tworzyła malowniczy kontrast: laki japońskie, tuje kanadyjskie, zielone jesiony, białe wierzby, wiązy prowansalskie, nad którymi wystrzelały dwa czy trzy modrzewie.

Poniżej rozciągał się strzyżony trawnik, którego ani jedno źdźbło nie wystawało ponad drugie, gazon delikatniejszy i jedwabistszy niż aksamit płaszcza królowej, w tym idealnym kolorze szmaragdu spotykanym tylko w Anglii przed tarasami siedzib feudalnych. Był to jak gdyby dywan naturalny, pieszczący oko, a tak miękki, że stopa bałaby się go dotknąć, plusz roślinny, po którym może tarzać się w słońcu tylko oswojona gazela z dzieckiem książęcym ubranym w sukienkę koronkową, a w nocy może spłynąć w świetle księżyca jakaś Tytania z West Endu ręka w rękę z jakimś Oberonem zapisanym w księdze parów i baronetów.

Aleja wysypana piaskiem, przesianym przez sito z obawy, aby skorupa muszli lub odłamek krzemienia nie zraniły stóp arystokratycznych, co zostawiały na nim delikatne ślady, wiła się jak żółta wstążka dokoła zielonego obrusa, krótkiego i gęstego, równanego walcem, a skrapianego sztucznym deszczem z polewaczki, który utrzymywał wilgotną świeżość nawet w czasach największej posuchy.

W rogu ogrodu wystrzelały z gazonów, w chwili kiedy rozgrywa się ta historia, istne sztuczne ognie kwiatowe, puszczane przez klomb geranium, których szkarłatne gwiazdy błyszczały na brunatnym tle wrzosiny.

Wytworna fasada pałacu zamykała widok. Smukłe jońskie kolumny podtrzymujące attykę, na której po obu stronach stały wdzięczne grupy marmurowe, nadawały jej wygląd świątyni greckiej, przeniesionej tam dla kaprysu milionera, i poprawiały, budząc myśli o poezji i sztuce, to, co by mogło razić zbytkiem przepychu. Między kolumnami zawsze prawie spuszczone story w szerokie różowe pasy chroniły i uwydatniały okna otwierające się wprost na portyk, jak drzwi szklane.

Jeśli fantastyczne niebo Paryża raczyło rozciągnąć lazurową ścianę poza tym *palazzino*, linie jego rysowały się tak szczęśliwie wśród kęp zieleni, że można je było wziąć za schronisko królowej wróżek lub za powiększony obraz Barona.

Z obu stron pałacu wychodziły na ogród dwie cieplarnie, tworzące skrzydła, których kryształowe ściany połyskiwały w słońcu między złocistymi wiązaniami i dawały najrzadszym i najkosztowniejszym roślinom egzotycznym złudzenie ich rodzinnego klimatu.

Gdyby jakiś wcześnie wstający poeta przechodził przez avenue Gabriel w pierwszych brzaskach jutrzenki, usłyszałby słowika, kończącego ostatnie tryle nokturnu, i ujrzałby kosa, przechadzającego się w żółtych pantoflach po alei ogrodowej z miną ptaka, który czuje się u siebie w domu; ale nocą, kiedy turkot powozów wracających z opery zamiera w ciszy uśpionego życia, ten sam poeta mógłby rozpoznać biały cień, wsparty na ramieniu pięknego, młodego mężczyzny, i powróciłby na swoje poddasze z duszą smutną aż do śmierci.

Czytelnik domyślił się niewątpliwie, że tam mieszka hrabina Łabińska z mężem swoim, hrabią Olafem Łabińskim, który powrócił z wojny kaukaskiej po chlubnej kampanii, gdzie jeśli się nie bił pierś o pierś z mitycznym ł nieuchwytnym Szamilem, to na pewno miał do czynienia z najfantastyczniej oddanymi muridami sławnego szejka. Unikał kul, tak jak mężni ich

unikają, to jest rzucając się naprzeciw nich, a krzywe szable dzikich wojowników łamały się na jego piersi nie naruszając jej. Odwaga jest najlepszym pancerzem. Hrabia Łabiński posiadał tę szaloną waleczność ras słowiańskich, które lubią niebezpieczeństwo dla niebezpieczeństwa i do których można jeszcze zastosować ten refren starej pieśni skandynawskiej: „Zabijają, umierają i śmieją się!”

W jakim upojeniu odnaleźli się małżonkowie, dla których małżeństwo było tylko namiętnością dozwoloną przez Boga i ludzi, to chyba jeden Tomasz Moore mógłby wyrazić stylem *Miłości anielskiej* Trzeba, aby każda kropla atramentu przemieniła się pod naszym piórem w kroplę światła i żeby każde słowo ulotniło się na papierze, wybuchając płomieniem i pozostawiając zapach kadzidła. Jak odmalować te dwie dusze, zlane w jedną i podobne do dwóch łez rosy, które spłynąwszy po płatku lilii, spotykają, mieszają i pochłaniają się wzajemnie, tworząc odtąd jedną już tylko perłę? Szczęście jest tak rzadkie na tym świecie, że człowiek nie pomyślał o stworzeniu słów dla oddania go, gdy tymczasem wyrażenia oddające cierpienia moralne i fizyczne wypełniają niezliczone kolumny w słownikach wszystkich narodów.

Olaf i Praskowia pokochali się, będąc dziećmi, serca ich biły na dźwięk jednego tylko imienia, od kolebki prawie wiedzieli, że należeć będą do siebie, i reszta świata nie istniała dla nich. Można by powiedzieć, że części Androgyne Platona, szukające się na próżno od pierwotnego rozdzielenia, odnalazły i połączyły się w nich. Tworzyli tę dwoistość w jedności, która jest harmonią ostateczną, i kroczyli obok siebie albo raczej szybowali przez życie lotem równym, podniosłym, bujając jak para gołębi ożywiona jednym pragnieniem, ażeby użyć pięknego wyrażenia Dantego.

Ażeby nic nie zakłócało tego szczęścia, olbrzymia fortuna otaczała ich jak gdyby atmosferą złota. Gdziekolwiek ukazywała się ta para promienna, nędza pocieszona porzucała swe łachmany, łzy osychały, gdyż Olaf i Praskowia posiadali to

szlachetne samolubstwo szczęścia i nie znosili niedoli w swym kręgu.

Odkąd politeizm zabrał ze sobą uśmiechnięte geniusze, tych młodych bogów, niebiańskich efebów o kształtach tak absolutnie doskonałych, o rytmie tak harmonijnym i piękności tak idealnej, odkąd Grecja starożytna nie śpiewa już hymnów na cześć piękności w strofach z marmuru paryjskiego, człowiek okrutnie nadużył pozwolenia, jakie mu dano na to, aby mógł być brzydki, i chociaż stworzony na obraz i podobieństwo Boże, reprezentuje je niezbyt dobrze. Ale hrabia Łabiński nie skorzystał z tej wolności; wydłużony nieco owal jego twarzy, nos cienki, zarysowany śmiało i delikatnie, wargi mocno wykrojone, podkreślone, jasnym wąsem zaostrzonym na końcach, broda podniesiona, z dołeczkiem w środku, czarne oczy, uderzająca oryginalność postaci, pełna wdzięku cudzoziemskość nadawały mu wygląd jednego z tych aniołów wojujących, świętego Michała lub Rafaela, którzy zwalczają szatana, ubrani w złocistą zbroję. Byłby aż nazbyt piękny, gdyby nie męska błyskawica jego ciemnych źrenic i pokład opalenia, który słońce azjatyckie rozpostarło na jego rysach.

Hrabia był średniego wzrostu, szczupły, smukły, sprężysty, ukrywający stalowe muskuły pod pozorną delikatnością; a kiedy na jakiś bal w ambasadzie przywdziewał swój strój magnacki, cały połyskujący złotem, ugwieżdżony brylantami, haftowany perłami, przechodził pośród gości jak zjawisko błyszczące, podniecając zazdrość mężczyzn i miłość kobiet, które przez uczucie dla Praskowii stawały mu się obojętne. Nie potrzebujemy dodawać, że hrabia posiadał zarówno zalety ducha, jak i ciała; życzliwe wróżki wyposażyły go w kolebce, a zła czarownica, która wszystko psuje, była w dobrym humorze tego dnia.

Nie można się dziwić, że wobec takiego rywala Oktawiusz de Saville nie miał wielkich widoków powodzenia i że dobrze czynił, zamierając z wolna na poduszkach kanapy, mimo nadziei, jaką chciał go natchnąć fantastyczny lekarz Baltazar Cherbonneau. Jedynym środkiem byłoby zapomnieć o

Praskowii, ale to było rzeczą niemożliwą; zobaczyć ją, po co? Oktawiusz czuł, że postanowienie młodej kobiety nie zmieni się nigdy w swej nieubłaganej łagodności, w swym współczującym chłodzie. Obawiał się, aby jego nie zabliźnione rany nie otwarły się i nie krwawiły przed tą, która zabiła go nieświadomie, a nie chciał oskarżać jej, tej słodkiej, ukochanej morderczyni!

IV

Dwa lata minęły od chwili, kiedy hrabina Łabińska wstrzymała na ustach Oktawiusza wyznanie miłości, którego nie mogła wysłuchać. Oktawiusz, strącony z wysokości swych marzeń, oddalił się unosząc w wątrobie dziób czarnego smutku i nie dał Praskowii ani znaku życia o sobie. Jedyne słowo, które mógł jej napisać, było zakazane. Ale myśli hrabiny, przerażonej tym milczeniem, nieraz krążyły pełne melancholii około biednego wielbiciela. Czy zapomniał o niej? W swym boskim braku kokieterii pragnęła tego, nie mogąc w to uwierzyć, gdyż w oczach Oktawiusza błyszczał płomień niewygasłej namiętności, a hrabina nie mogła się pomylić. Miłość i bogów poznaje się po spojrzeniu. Ta myśl, jak mała chmurka, przebiegała po przejrzystym lazurze jej szczęścia i napawała ją lekkim smutkiem aniołów, którzy, przebywając w niebie, przypominają sobie ziemię. Jej piękna dusza cierpiała na myśl, że ktoś tam nisko jest nieszczęśliwy z jej przyczyny; ale cóż może złota gwiazda, błyszcząca na firmamencie, dla nieznanego pastucha wyciągającego ku niej rozkochane ramiona? Wprawdzie Febe zstąpiła z niebios w promieniach srebrnych na sen Endymiona, ale ona nie była żoną polskiego hrabiego.

Przyjechawszy do Paryża, hrabina Łabińska posłała Oktawiuszowi to banalne zaproszenie, które Baltazar Cherbonneau obracał z roztargnieniem w rękach, a widząc, że nie przychodzi — chociaż pragnęła go zobaczyć — powiedziała sobie z odruchem mimowolnej radości: „Kocha mnie zawsze!” A przecież była to kobieta anielskiej czystości, biała jak śnieg na najwyższych szczytach Himalajów.

Ale sam Pan Bóg w głębi swej nieskończoności nie ma innej rozrywki wśród nudy wieczności, tylko przyjemność słuchania, jak bije dla niego serce biednej, znikomej istoty, zgubionej na nędznej kuli ziemskiej. Praskowia nie była surowsza od Boga, a hrabia Olaf nie mógł ganić tej delikatnej rozkoszy duszy.

— Pańskie opowiadanie, którego uważnie słuchałem — odezwał się doktor do Oktawiusza — dowodzi, że wszelka nadzieja z pańskiej strony byłaby bezsensowna. Hrabina nigdy nie podzieli pańskiej miłości.

— Widzi pan, panie doktorze, że miałem słuszność, nie starając się wstrzymać życia, które uchodzi ze mnie.

— Powiedziałem, że nie ma nadziei za pomocą zwykłych środków, ale istnieją tajemne potęgi, zapoznane przez wiedzę nowoczesną, a których tradycja przetrwała w osobliwych krajach, zwanych przez ciemną cywilizację barbarzyńskimi. Tam, od samego początku świata, ród ludzki, w bezpośredniej styczności z żywymi siłami przyrody, znał tajemnice, które zdają się być zapomniane, a których nie zabrały w wędrówki swe plemiona, co później utworzyły narody. Tajemnice te przekazywali sobie początkowo wtajemniczeni w głębiach mrocznych świątyń, następnie spisywano je w świętych narzeczach, niezrozumiałych dla tłumu, i ryto w hieroglifach na taflach wzdłuż ścian w podziemiach w Ellora; na grzbiecie góry Mer u, skąd wypływa Ganges, na najniższym stopniu białych schodów marmurowych, w świętym mieście Benares, w zakamarkach rozwalonych pagód na Cejlonie, można jeszcze odnaleźć jakiegoś stuletniego bramina, sylabizującego nieznane rękopisy, jakiegoś jogę, zajętego powtarzaniem niewypowiedzianego jednozgłoskowego om, który nie czuje wcale, że ptaki niebieskie zagnieździły się w jego włosach; niektórzy fakirzy, co noszą na ramionach stygmaty Dżagernata, znają jeszcze te sposoby zapomniane i otrzymują cudowne wyniki, jeśli raczą się nimi posługiwać. Nasza Europa, pochłonięta sprawami materialnymi, nie ma pojęcia, do jakiego stopnia uduchowienia doszli pokutnicy indyjscy; te posty bezwzględne, te kontemplacje, przerażające w swej martwocie,

nieruchomość, zachowywana przez całe lata, osłabiają tak doskonale ich ciała, że widząc, jak przykucnięci pod rozpalonym słońcem między żarzącymi węglami pozwalają paznokciom przebijać dłonie, powiedzielibyście, że to mumie egipskie wyciągnięte z pak i zgięte w ruchach małpich; ich powłoka cielesna jest już tylko poczwarką, którą dusza, motyl nieśmiertelny, może dowolnie porzucić lub w niej zamieszkać ponownie. Podczas gdy ich nędzny i zewłok pozostaje martwy, okropny dla oczu jak larwa nocna zaskoczona przez dzień, duch ich, uwolniony z wszelkich więzów, wznosi się na skrzydłach jasnowidzenia na niezmierzone szczyty, w świat nadprzyrodzony. Miewają dziwne sny i widzenia; śledzą w jednej ekstazie po drugiej falowanie wieków, co znikły w oceanie wieczności; przebiegają nieskończoność we wszystkich kierunkach, są świadkami tworzenia .światów, początków bogów i ich przemian; wraca im pamięć nauk pochłoniętych przez kataklizmy wulkaniczne i potopowe oraz pamięć zapomnianych związków ludzi z żywiołami. W tym osobliwym stanie mruczą słowa należące do języków, którymi żaden naród na kuli ziemskiej nie mówi już od wielu tysięcy lat, odnajdują słowo pierwotne, słowo, na które światło powstało z dawnych ciemności; uważają ich za szaleńców; to są niemal bogowie!

Ten dziwny wstęp podniecił do najwyższego stopnia uwagę Oktawiusza, który nie wiedząc, do czego zmierza Baltazar Cherbonneau, wpatrywał się w niego oczyma zdziwionymi i iskrzącymi od zapytań. Nie domyślał się, jaki związek może zachodzić między pokutnikami indyjskimi a jego miłością do hrabiny Praskowii Łabińskiej.

Przeczuwając myśl Oktawiusza, doktor Cherbonneau skinął ręką jak gdyby dla uprzedzenia pytań i rzekł: — Cierpliwości, drogi pacjencie, zaraz się pan przekona, że nie na darmo zbaczam od przedmiotu. Znużony badaniem za pomocą skalpelu, na marmurze amfiteatrów, trupów, które mi nie dawały odpowiedzi i pokazywały tylko śmierć, podczas kiedy ja szukałem życia, wpadłem na pomysł — równie zuchwały jak pomysł Prometeusza wdzierającego się do nieba dla

wykradzenia ognia — dosięgnięcia duszy i zaskoczenia jej, analizowania i, że się tak wyrażę, rozczłonkowania; porzuciłem skutek dla przyczyny j wzgardziłem głęboko wiedzą materialistyczną, przekonawszy się o jej nicości. Wywierać wpływ na te formy nieokreślone, na tę przypadkową mieszaninę cząsteczek natychmiast rozdzielających się, wydawało mi się czynnością godną grubego empiryzmu. Usiłowałem rozluźnić magnetyzmem więzy przykuwające ducha do jego powłoki; prześcignąłem wkrótce Mesmera, Deslona, Maxwella, Puysegura. Deleuze'a i najzręczniejszych mistrzów w doświadczeniach istotnie nadzwyczajnych, które jednak nie zadowalały mnie jeszcze. Katalepsja, lunatyzm, telepatia, jasnowidzenie w ekstazie — wywoływałem do woli wszystkie te efekty, niezrozumiałe dla tłumu, proste i jasne dla mnie. Poszedłem jeszcze dalej; od zachwyceń Cardana i św. Tomasza z Akwinu przeszedłem do ataków nerwowych Pytii; odkryłem arkana Epoptów greckich i hebrajskich Nebiimów; wtajemniczyłem się retrospektywnie w misteria Trofoniusza i Eskulapa, rozpoznając zawsze w cudach, które o nich opowiadają, skupienie albo ekspansję duszy, wywołane bądź to gestem, bądź też słowem, spojrzeniem, wolą lub też wszelkim innym czynnikiem nieznanym. Odrobiłem po kolei wszystkie cuda Apoloniusza z Tyany. Mimo to moje marzenie naukowe nie było jeszcze skończone; dusza wymykała mi się nieustannie; przeczuwałem ją, słyszałem, wpływałem na nią; odrętwiałem lub pobudzałem jej władzę; ale między nią a mną była jakby jakaś zasłona z ciała; ilekroć starałem się odsunąć ją, dusza ulatywała; byłem jak ten ptasznik, co trzyma ptaszka w siatce i nie śmie jej uchylić z obawy, aby jego zdobycz skrzydlata nie zniknęła w błękicie nieba. Wyjechałem do Indii, spodziewając się odnaleźć słowo zagadki w tym kraju starożytnej mądrości. Nauczyłem się sanskrytu i prakrytu, narzeczy uczonych i ludowych; mogłem rozmawiać z pandytami i braminami. Przedarłem się przez dżungle, gdzie ryczy tygrys spłaszczony na swych łapach; przeszedłem wzdłuż świętych stawów pokrytych jak łuską grzbietami krokodyli; przewędrowałem

przez niedostępne lasy, zabarykadowane lianami, płosząc chmary nietoperzy i małp, stając twarzą w twarz ze słoniem na zakręcie jakiejś ścieżki utorowanej przez dzikie zwierzęta, aby dotrzeć do chaty jakiegoś sławnego jogi, będącego w związku z munisami, i całymi dniami siadywałem przy nim, dzieląc jego skórę gazeli, aby notować niewyraźne zaklęcia, które szeptały w ekstazie jego czarne i popękane wargi. W ten sposób pochwyciłem słowa wszechmocne, formuły zaklinania duchów, zgłoski Twórczego Słowa.

Badałem rzeźby symboliczne w wewnętrznych salach pagód, których nie oglądało nigdy oko profana, a gdzie szata bramina pozwalała mi wejść; przeczytałem wiele tajemnic kosmogonicznych, wiele legend zaginionych cywilizacji; odkryłem znaczenie emblematów, które trzymają w swych licznych rękach ci bogowie-hybrydy, bujni jak przyroda indyjska; ślęczałem nad kołem Brahmy, lotosem Wisznu, kobrą „capello” Sziwy, boga niebieskiego. Rozwijając trąbę gruboskórca i mrużąc swoje małe oczka, Ganesha zdawał się uśmiechać i zachęcać mnie do wysiłków i poszukiwań. Wszystkie te potworne oblicza mówiły do mnie w swym języku kamiennym: „My jesteśmy tylko kształtem, a duch ożywia bryły”.

Jeden kapłan ze świątyni Tirunamalay, któremu zdradziłem myśl, jaka mnie zajmowała, wskazał mi pewnego pokutnika, mieszkającego w grocie na wyspie Elefancie, który doszedł do najwyższego stopnia doskonałości. Zastałem go opartego plecami o ścianę jaskini, owiniętego kawałkiem maty, z podbródkiem na kolanach, z palcami skrzyżowanymi na nogach, w stanie bezwzględnej nieruchomości; źrenice miał przewrócone, widać było tylko białka, wargi ściągały się wokoło zębów bez dziąseł, skóra, wygarbowana nieprawdopodobną chudością, przylegała do kości policzkowych, włosy, odrzucone w tył, zwisały pasmami sztywnymi jak włókna roślin z wysokich skał; broda, podzielona na dwie części, dotykała niemal ziemi, a paznokcie były zakrzywione jak orle szpony.

Słońce wysuszyło i sczerniło go tak, że jego skórze Hindusa, brunatnej z natury, nadało pozór bazaltu; w tej pozie podobny był w barwie i kształcie do jakiejś wazykanopy. Na pierwszy rzut oka myślałem, że to umarły. Potrząsnąłem go za ramię, jak gdyby zmartwiałe w sztywności kataleptycznej, krzyczałem mu do ucha słowa sakramentalne, po których mógł poznać we mnie wtajemniczonego — nie zadrżał, powieki jego nie poruszyły się. Chciałem odejść, zwątpiwszy, bym mógł coś z niego wyciągnąć, kiedy usłyszałem jakiś dziwny szmer; niebieskawa iskra przemknęła przed mymi oczami z błyskawiczną szybkością światła elektrycznego, zakręciła się chwilkę na wpółotwartych ustach pokutnika i znikła.

Brahma-Logum (tak się nazywał ów świątobliwy człowiek) przebudził się z letargu, źrenice jego wróciły na swoje miejsce; spojrzał na mnie wzrokiem ludzkim i odpowiedział na moje pytania:

„Pragnienia twoje są zaspokojone: widziałeś duszę. Doszedłem do tego, że mogę odłączać moją duszę od ciała, kiedy mi się podoba — wychodzi z niego i powraca jak pszczoła świetlana, widzialna tylko dla oczu wtajemniczonych. Tak długo pościłem, tak długo modliłem się, tak długo rozmyślałem i tak surowo się umartwiałem, że mogłem rozluźnić więzy ziemskie, które ją przykuwają, a Wisznu, bóg dziesięciu wcieleń, objawił mi słowo tajemnicze, co kieruje nią w jej awatarach poprzez rozmaite kształty. Gdybym wymówił to słowo, uczyniwszy poprzednio gesty uświęcone, dusza twoja uleciałaby, aby ożywić człowieka lub zwierzę, które bym jej wskazał. Powierzam ci tę tajemnicę, której w obecnej chwili nikt już na świecie nie zna. Cieszę się, żeś przybył, gdyż spieszno mi rozpłynąć się w łonie Przedwiecznego jak kropla wody w morzu”. — I szepnął mi do ucha głosem słabym jak ostatnie westchnienie umierającego, a mimo to wyraźnym, kilka zgłosek, które przyprawiły mnie o lekki dreszcz, o jakim mówi Job.

— Co chcesz powiedzieć, doktorze? — zawołał Oktawiusz. — Nie śmiem badać przerażającej głębi twoich myśli.

— Chcę powiedzieć — odparł spokojnie Baltazar Cherbonneau — że nie zapomniałem magicznej formułki mojego przyjaciela Brahma-Logum i że hrabina Praskowia byłaby bardzo przenikliwa, gdyby poznała duszę Oktawiusza de Saville w cielę Olafa Łabińskiego.

V

Sława doktora Baltazara Cherbonneau jako lekarza i cudotwórcy poczynała być głośna w Paryżu; stał się modny przez swoje prawdziwe czy też zmyślone dziwactwa. Ale daleki od tego, aby, jak to mówią, starać się o klientelę, usiłował odprawiać chorych, zamykając przed nimi drzwi lub też przepisując im niezwykłe recepty i niemożliwe kuracje. Przyjmował tylko wypadki beznadzieje, ze wspaniałą wzgardą odsyłając do swych kolegów pospolite zapalenia płuc, banalne zapalenia kiszek, mieszczańskie tyfusy, i w tych ostatecznych wypadkach dokonywał uleczeń prawdziwie niepojętych. Stojąc przy łóżku, czynił gesty magiczne nad szklanką wody, a zesztywniali i zimni, gotowi już do trumny, przełknąwszy przez zaciśnięte agonią zęby kilka kropli tego napoju, odzyskiwali sprężystość życiową, rumieńce zdrowia i podnosząc się zaczynali wodzić wokoło wzrokiem, przyzwyczajonym już do mroków grobowych. Toteż nazywano go lekarzem - umarłych albo wskrzesicielem. Jednak czasami nie chciał się podjąć kuracji i niejednokrotnie odmawiał przyjęcia ogromnych sum od bogatych umierających. Aby się zgodził na rozpoczęcie walki ze zniszczeniem, trzeba było, żeby go wzruszyła boleść matki, błagającej o uratowanie jedynego dziecka, rozpacz kochanka, proszącego o wyleczenie uwielbianej kochanki, albo jeśli uznał, że zagrożone życie może być pożyteczne dla poezji, nauki i dla postępu rodzaju ludzkiego. Uratował w ten sposób śliczne dziecko, któremu dławiec ściskał gardło żelaznymi palcami, uroczą dziewczynę z posuniętymi do najwyższego stopnia suchotami, poetę dotkniętego *delirium tremens* i chorego na zapalenie mózgu wynalazcę, który miał pogrzebać tajemnicę swego wynalazku pod kilkoma garściami ziemi. W innych

wypadkach powiadał, że nie trzeba sprzeciwiać się naturze, że niektóre śmierci mają swoją rację bytu i że przeszkadzając im, można by coś popsuć w ogólnym porządku. Widzimy więc, że Baltazar Cherbonneau był najparadoksalniejszym lekarzem na świecie i że powrócił z Indii pełen dziwactw; ale jego sława magnetyzera przewyższała jeszcze jego sławę lekarza; dla niewielkiej liczby wybranych urządził kilka seansów, o których opowiadano rzeczy mogące zmącić wszystkie pojęcia o tym, co możliwe i niemożliwe, i które przewyższały cuda Cagliostra.

Baltazar Cherbonneau zajmował parter w starym pałacu przy ulicy du Regard; pokoje były w amfiladzie, jak się to budowało niegdyś, wysokie okna wychodziły na ogród zasadzony wielkimi drzewami o czarnym pniu i wątłym zielonym uliścieniu. Chociaż było lato, potężne kaloryfery dmuchały przez usta mosiężnych krat trąby palącego powietrza w obszerne sale i utrzymywały w nich temperaturę trzydziestu pięciu do czterdziestu stopni gorąca, gdyż Baltazar Cherbonneau, przyzwyczajony do prażącego klimatu Indii, drżał w naszym bladym słońcu jak ten podróżnik, co wróciwszy od źródeł Nilu w Środkowej Afryce, trząsł się z zimna w Kairze i nie wyjeżdżał inaczej jak w zamkniętym powozie, zawinięty w futra z niebieskich lisów syberyjskich i z nogami na blaszanej rurze napełnionej wrzącą wodą.

W salach tych nie było innych mebli oprócz niskich kanap, pokrytych tkaninami malabarskimi zdobnymi w chimeryczne słonie i fantastyczne ptaki, oprócz etażerek rzeźbionych, malowanych i złoconych z barbarzyńską naiwnością przez ludność cejlońską, oraz waz japońskich pełnych egzotycznych kwiatów; na podłodze rozciągał się wzdłuż całego mieszkania jeden z tych dywanów żałobnych w czarny i biały deseń, które tkają za karę uwięzieni tugowie-dusiciele, a których nić stanowią, zda się, konopie z ich powrozów. Kilka bożyszcz indyjskich z marmuru lub brązu, o długich jak migdał oczach, o nosach "ujętych w pierścienie, o wargach grubych i uśmiechniętych, o naszyjnikach perłowych spadających aż po pępek, o dziwacznych i tajemniczych godłach, krzyżowało swe

nogi na postumencikach w rogach pokojów. Wzdłuż ścian wisiały miniatury gwaszem, dzieło jakiegoś malarza z Kalkuty albo z Lakno przedstawiające dziewięć awatarów Wisznu: rybę, żółwia, świnię, lwa z ludzika głową, karła bramińskiego, Ramę, bohatera zwalczającego tysiącramiennego olbrzyma Cartasucicriargunen, Kistnę, cudowne dziecię, w którym marzyciele widzą Chrystusa indyjskiego, Buddę, czciciela wielkiego boga Mahadawi; w końcu ukazywały jego samego, uśpionego pośród mlecznego morza, na żmii o pięciu głowach tworzących tron, oczekującego ostatniej chwili inkarnacji w kształt białego skrzydlatego konia, który zrzuciwszy kopyto na wszechświat, ma sprowadzić koniec wszechrzeczy.

W najdalszej sali, silniej jeszcze ogrzanej niż inne, przesiadywał Baltazar Cherbonneau, otoczony księgami sanskryckimi pisanymi rylcem na cienkich płytach drzewa; płyty te przedziurawione i związane sznurem przewleczonym przez dziurki przypominały raczej żaluzje niż tomy w pojęciu księgarstwa europejskiego. Niepokojąca i skomplikowana sylwetka machiny elektrycznej z jej butelkami napełnionymi złotymi listkami i z krążkami szklanymi obracanymi za pomocą korb wznosiła się na środku pokoju obok mesmerycznego cebrzyka, w którym tkwił lancet żelazny i skąd promieniowały liczne pręty żelazne. Doktor Cherbonneau nie był wcale szarlatanem i nie inscenizował wnętrza, ale mimo to nie można było oprzeć się wrażeniu, jakiego, wszedłszy do tego dziwacznego ustronia, doznawało się niegdyś w laboratoriach alchemików.

Hrabia Olaf Łabiński posłyszał o cudach dokonywanych przez doktora i zapłonął ciekawością, pomieszaną z pewną dozą wiary. Narody słowiańskie mają ku cudowności natury pociąg, który najstaranniejsze wychowanie nie zawsze może złagodzić, a zresztą wiarogodni świadkowie, uczestniczący w tych seansach, opowiadali rzeczy, w które nie można uwierzyć nie widząc ich, chociażby się miało jak największe zaufanie do opowiadającego. Poszedł więc odwiedzić cudotwórcę.

Kiedy hrabia Labiński wszedł do doktora Cherbonneau, uczuł się jak gdyby owiany nieokreślonym płomieniem; wszystka krew napłynęła mu do głowy, w skroniach szumiało, wielkie gorąco, panujące w pokoju, tamowało mu oddech; lampy, w których płonęły olejki aromatyczne, wielkie kwiaty jawajskie, poruszające olbrzymie swe kielichy ' niby kadzielnice, odurzały go oszałamiającymi wyziewami i duszącymi woniami. Postąpił chwiejnym krokiem ku doktorowi, który siedział skulony aa kanapie w jednej z tych póz właściwych fakirom lub pustelnikom, którymi książę Sołtykow tak malowniczo ilustrował swoją podróż do Indii. Widząc, jak pod fałdami ubrania rysują się zgięcia jego stawów, można było powiedzieć, że to pająk ludzki zwinięty pośród swej pajęczyny, wyczekujący nieruchomo na swą zdobycz. Na widok hrabiego jego turkusowe źrenice rozjaśniły się fosforyzującymi światłami w środku orbity złoconej bistrem kamienia wątrobianego i zagasły natychmiast, jak gdyby przykryte dobrowolnym bielmem. Lekarz wyciągnął do Olafa rękę, domyślając się jego osłabienia; dwa czy trzy razy przesunąwszy ręką, otoczył go atmosferą wiosny, stwarzając mu świeży raj w tym upalnym piekle.

— Czy panu lepiej? Pańskie płuca, przyzwyczajone do powiewów nadbałtyckich, które płyną zmrożone z krain odwiecznych śniegów bieguna, musiały sapać jak miech kowalski w tym powietrzu palącym, gdzie ja drżę, ja, spieczony, przysmażony i jakby zwapniony w żarze słonecznym.

Hrabia Olaf Łabiński skinął na znak, że już nie cierpi z powodu wysokiej temperatury.

— A zatem — rzekł doktor dobrodusznym tonem — słyszał pan pewnie o moich kuglarskich sztuczkach i chce pan zobaczyć próbkę mej zręczności, och, ja potrafię więcej niż Comus, Comte lub Bosco!

— Moja ciekawość nie jest tak pusta — odparł hrabia — i mam więcej uszanowania dla jednego z książąt nauki.

— Nie jestem uczonym w znaczeniu, jakie się nadaje temu słowu, przeciwnie, badając pewne rzeczy wzgardzone przez

naukę, ujarzmiłem tajemne, nie zużyte moce i otrzymałem wyniki, które wydają się cudowne, chociaż są naturalne. Czatowałem na duszę i niejednokrotnie zaskoczyłem ją; czyniła mi zwierzenia, z których skorzystałem, i mówiła słowa, o których nie zapomniałem. Duch jest wszystkim, materia istnieje tylko pozornie; wszechświat jest może tylko marzeniem Boga lub promieniem Słowa w niezmierzoności. Wedle upodobania mnę łachman cielesny, wstrzymuję lub przyspieszam życie, przestawiam zmysły, znoszę przestrzeń, uśmierzam ból, nie uciekając się ani do chloroformu, ani do eteru, ani do żadnego innego środka znieczulającego. Uzbrojony w wolę, tę elektryczność intelektualną, ożywiani lub miażdżę. Nie ma rzeczy nieprzezroczystej dla moich oczu; mój wzrok przenika wszystko; widzę wyraźnie promienie myśli i tak jak się rzuca widmo słońca na ekran, tak ja mogę je przepuścić przez mój niewidzialny pryzmat i zmusić je, aby się odbiły na białym płótnie mego mózgu. Ale to wszystko jest niczym wobec cudów dokonywanych przez pewnych jogów indyjskich, którzy doszli do najwyższego stopnia ascetyzmu. My Europejczycy jesteśmy zbyt lekkomyślni, zbyt roztargnieni, zbyt próżni, zbyt rozmiłowani w naszym więzieniu z gliny, aby szeroko otworzyć okna na wieczność i nieskończoność. Mimo to uzyskałem kilka dość osobliwych wyników, które będzie pan mógł osądzić — rzekł doktor Cherbonneau, przesuwając kółka wiszącej na żelaznym pręcie ciężkiej draperii, zasłaniającej rodzaj alkowy urządzonej w głębi sali.

W świetle płomyka spirytusowego, który chwiał się na trójnogu brązowym, hrabia Olaf Łabiński ujrzał obraz tak straszny, że mimo całej odwagi wstrząsnął nim dreszcz. Na czarnym marmurowym stole leżało ciało młodzieńca nagie aż po pas i trupio nieruchome; z jego torsu najeżonego strzałami jak ciało św. Sebastiana nie ciekła ani jedna kropla krwi; można go było wziąć za malowany wizerunek męczennika, na którym zapomniano zabarwić cynobrem otwory ran.

„Ten dziwny lekarz — pomyślał sobie Olaf — jest może czcicielem Sziwy i poświęcił tę ofiarę swojemu bożyszczu”.

— Och, on wcale nie cierpi! Może go pan kłuć bez obawy, ani jeden muskuł nie drgnie w jego twarzy — mówiąc to doktor Cherbonneau powyjmował strzały z ciała, tak jak się wyciąga szpilki z poduszeczki.

Kilka szybkich poruszeń rąk uwolniło pacjenta z sieci wiążących go prądów i młodzieniec obudził się z uśmiechem zachwycenia na ustach, jak gdyby kończył jakiś błogi sen. Doktor pożegnał go gestem i młodzieniec wyszedł małymi drzwiami ukrytymi w boazerii, którą alkowa była wyłożona.

— Mógłbym odciąć mu nogę albo rękę, a on by tego nie poczuł — rzekł doktor, fałdując swoje zmarszczki w kształt uśmiechu — nie uczyniłem tego, ponieważ nie tworzę jeszcze, a człowiek, niższy pod tym względem od jaszczurki, nie ma dość siły, aby odtworzyć członki, które mu się odcina. Ale jeśli nie stwarzam, to za to umiem odmładzać. — Podniósł zasłonę okrywającą kobietę w starszym wieku, pogrążoną w śnie magnetycznym na fotelu niedaleko stołu z czarnego marmuru; rysy jej, które mogły być niegdyś piękne, były zwarzone, a zniszczenie, jakie zostawia czas, można było wyczytać na wychudzonych konturach ramion, pleców i piersi. Doktor utkwił w niej przez chwilę z uporczywym natężeniem spojrzenie swych błękitnych źrenic: skażone linie wzmocniły się, zarysy piersi nabrały czystości dziewiczej; białe i jedwabiste ciało wypełniło chudość szyi; policzki zaokrągliły się i pokryły puszkiem jak brzoskwinie w pierwszej świeżości; oczy otwarły się, migotając w żywym fluidzie; maska starości, zdjęta jak na zaklęcie, ukazała piękną młodą kobietę, nie widzianą od dawna.

— Czy wierzy pan, że krynica młodości tryskała gdzieś swymi cudownymi wodami? — zapytał doktor hrabiego, zdumionego tą przemianą. — Ja w to wierzę, gdyż człowiek niczego nie wymyśla, a każdy jego sen jest przeczuciem albo wspomnieniem. Ale dajmy spokój tej formie ugniecionej na nowo moją wolą, a zagadnijmy tę młodą dziewczynę, która spokojnie śpi w tym kącie. Zapytaj ją pan, ona więcej wie niż Pytie i Sybille. Może ją pan posłać do jednego z pańskich siedmiu zamków w kraju i zapytać, co się znajduje w

najtajniejszej pańskiej szufladzie, gdyż dusza jej potrzebuje ledwie sekundy dla odbycia tej podróży, co zresztą nie jest wcale zdumiewające, ponieważ elektryczność przebywa w tym samym czasie siedemdziesiąt tysięcy mil, a elektryczność jest w stosunku do myśli tym, czym dorożka do pociągu. Weź ją pan za rękę i połącz się pan z nią; nie potrzebuje pan wypowiadać swojego pytania, ona je odczyta w twoim umyśle.

Dziewczyna głosem wątłym jak głos cienia odpowiedziała na pytanie hrabiego zadane w myśli.

— W szkatułce cedrcowej jest garść ziemi przysypanej miałkim piaskiem, na którym widać odcisk drobnej nóżki.

— Czy dobrze odgadła? — zapytał doktor od niechcenia, jak gdyby był pewny nieomylności swej jasnowidzącej!

Twarz hrabiego spłonęła gorącym rumieńcem. Istotnie, w pierwszych czasach swojej miłości hrabia zabrał z alei parkowej odcisk stopy Praskowii i przechowywał go jak relikwię w głębi skrzynki najprzedniejszej roboty, inkrustowanej perłową masą i srebrem, od której maleńki kluczyk nosił zawieszony na szyi na złotym weneckim łańcuszku.

Baltazar Cherbonneau, który był człowiekiem dobrze wychowanym, nie nalegał, widząc zakłopotanie hrabiego, i zaprowadził go do stołu, gdzie przygotowana była woda czysta jak diament.

— Słyszał pan zapewne o zwierciadle magicznym, w którym Mefistofeles ukazuje Faustowi obraz Heleny; chociaż nie mam kopyta końskiego w mojej jedwabnej pończosze ani kogucich piór ma kapeluszu, mogę pana zabawić tym niewinnym cudem. Pochyl się pan nad tą czarą i pomyśl z wytężeniem o osobie, którą chce pan zobaczyć; żywa czy umarła, daleka czy bliska, przyjdzie na zawołanie pana z drugiego końca świata albo z głębin historii.

Hrabia pochylił się nad czarą, której woda zmąciła się wkrótce pod jego wzrokiem i nabrała odcieni opalizujących, jak gdyby wlano do niej kroplę jakiejś esencji; koło tęczowe o

kolorach pryzmatu uwieńczyło brzegi wazy, tworząc ramę do obrazu, który wyłaniał się już spod białawej chmury.

Mgła się rozwiała. Młoda kobieta w peniuarze koronkowym, piękność o modrych oczach, o złotych kędzierzawych włosach, której cudne ręce niby białe motyle przesuwały się roztargnione po klawiszach fortepianu, zarysowała się na dnie znów przezroczystej wody z tak przedziwną dokładnością, że mogłaby doprowadzić do rozpaczy wszystkich malarzy; była to Praskowia, która, nie wiedząc o tym, zjawiła się na gorące wezwanie hrabiego.

— A teraz przejdźmy .do czegoś bardziej interesującego — rzekł doktor, biorąc hrabiego za rękę i kładąc ją na jednym z żelaznych prętów cebrzyka mesmerycznego.

Dotknąwszy metalu naładowanego magnetyzmem, hrabia Olaf padł jak piorunem rażony.

Doktor wziął go w ramiona, podniósł jak piórko, położył na kanapie, zadzwonił i rzekł do służącego, który ukazał się na progu:

— Sprowadź pana Oktawiusza de Saville.

VI

W cichym dziedzińcu pałacowym dał się słyszeć turkot karety, a po chwili Oktawiusz zjawił się przed doktorem; stanął zdumiony na widok hrabiego Olafa, leżącego na kanapie z pozorami śmierci. Pierwszą jego myślą było, że to morderstwo, i przez chwilę stał niemy z przerażenia, ale po bliższym zbadaniu spostrzegł, że niewidzialny prawie oddech podnosi i obniża pierś młodego człowieka.

— Pańskie przebranie już przygotowane — rzekł doktor — trudniej je trochę włożyć niż domino wypożyczone u Babina, ale Romeo wspinający się na balkon w Weronie nie troszczy się o to, że może sobie kark skręcić; wie, że Julia oczekuje go w pokoju na górze, pod osłoną nocy, a hrabina Praskowia Łabińska warta jest córki Kapuletów.

Oktawiusz, zmieszany osobliwością położenia, nie odpowiadał nic, patrzył bez przerwy na hrabiego, którego głowa lekko w tył odrzucona, spoczywająca na poduszce, przypominała wizerunki rycerzy leżących na własnych grobowcach w klasztorach gotyckich, z wezgłowiem rzeźbionym w marmurze pod zesztywniałym karkiem. Ta piękna i szlachetna postać, którą miał pozbawić duszy, mimo woli wzbudzała w nim wyrzuty sumienia.

Doktor Cherbonneau wziął zamyślenie Oktawiusza za wahanie się; lekki uśmiech pogardy zaigrał na jego wargach.

— Jeżeli pan nie jest zdecydowany, mogę obudzić hrabiego, który pójdzie sobie tak, jak przyszedł, zachwycony moją potęgą magnetyczną; ale pomyśl pan, że taka sposobność może się już nigdy nie powtórzyć. Poza tym, chociaż bardzo mnie interesuje pańska miłość, chociaż mam wielką ochotę uczynić doświadczenie, o które nikt jeszcze nie pokusił się w Europie,

nie powinienem panu ukrywać, że taka zamiana dusz ma swoje niebezpieczeństwa. Uderz się pan w piersi, zapytaj pan serca. Czy szczerze stawia pan życie na tę ostatnią kartę? Miłość jest silna jak śmierć — powiada *Biblia*.

— Jestem gotów — odparł z prostotą Oktawiusz.

— Dobrze, młodzieńcze — zawołał doktor, zacierając swoje suche, brunatne ręce z niezwykłą szybkością, jak gdyby chciał zapalić ogień na sposób dzikich ludzi. — Podoba mi się namiętność, która nie cofa się przed niczym. Dwie są tylko rzeczy na świecie: namiętność i wola. Jeżeli pan nie będzie szczęśliwy, to z pewnością nie z mojej winy. Ach, mój stary Brahma-Logum, zobaczysz z głębi nieba Indry, gdzie *apsaras* otaczają cię rozkosznymi chórami, że nie zapomniałem niepokonanej formuły, którą szepnąłeś mi do ucha, porzucając swój do mumii podobny szkielet. Zapamiętałem i słowa, i gesty. Do dzieła! Do dzieła! Urządzimy w naszym kotle osobliwą kuchnię, jak czarownice w Makbecie, ale bez ohydnych północnych guseł. Siadaj pan przede mną, w tym fotelu; oddaj się pan z całym zaufaniem mojej władzy. Dobrze! Proszę patrzeć mi w oczy i podać mi ręce. Czar już działa. Pojęcia czasu i przestrzeni nikną, świadomość własnego ja zaciera się, powieki opadają; muskuły, nie otrzymujące rozkazów mózgu, odpoczywają; myśl zasypia, wszystkie delikatne nici, zatrzymujące duszę w ciele, są rozwiązane. Brahma marzący przez dziesięć tysięcy lat w złotym jaju nie był więcej oddzielony od rzeczy zewnętrznych; nasyćmy go wyziewami, skąpmy go w promieniach.

Mrucząc te przerywane zdania doktor ani na chwilę nie przestawał poruszać rękami; z jego wyciągniętych palców tryskały promienie świetlne padające na czoło i serce pacjenta, około którego tworzyła się z wolna jakaś widzialna atmosfera, fosforyzująca jak aureola.

— Doskonale! — rzekł Baltazar Cherbonneau, winszując sobie swego dzieła. — Takim chcę go mieć. Ale cóż tam jeszcze stawia opór? — zawołał po chwili, jak gdyby czytał poprzez czaszkę Oktawiusza ostatni wysiłek jego osobowości, bliskiej zaniku. —

Cóż to za niesforna myśl, która, wypędzona ze zwojów mózgu, stara się umknąć przed moim wpływem, skłębiając się na pierwotnej monadzie, na środkowym punkcie życia? Muszę ją ująć i poskromić.

Aby zwyciężyć ten mimowolny opór, doktor silniej jeszcze skierował baterię magnetyczną swego wzroku i ugodził buntowniczą myśl między podstawą móżdżku a przejściem do rdzenia kręgowego, w najskrytszym sanktuarium, w najtajniejszym tabernakulum duszy. Triumf jego był zupełny.

Wówczas zaczął się przygotowywać z majestatyczną powagą do niesłychanego doświadczenia, które miał przedsięwziąć; przywdział lnianą suknię, jak to czynią magowie, obmył ręce w wonnej wodzie, wyjął pudełko z pudrem, którym nakreślił sobie na czole i na policzkach hieratyczne znaki; przepasał ramię sznurem bramińskim, przeczytał parę ślok z poematów świętych i nie opuścił najdrobniejszego obrządku zaleconego przez pokutnika z groty Elefanty.

Ukończywszy te ceremonie, rozwarł szeroko wszystkie otwory ziejące żarem i wkrótce cała sala, wypełniła się atmosferą gorąca, w której mdlałyby tygrysy w dżunglach, trzeszczałyby mułem pokryte pancerze na chropowatych skórach bawołów i z łoskotem otwierałyby się szeroko kwiaty aloesu.

— Nie wolno, aby te dwie iskierki boskiego ognia, mające się spotkać za chwilę nagie i wyzute na parę sekund ze swej cielesnej powłoki, miały zblednąć lub zagasnąć w naszym lodowatym powietrzu — rzekł doktor, spoglądając na termometr, który wskazywał 120 stopni Fahrenheita.

Pośród tych dwóch martwych ciał doktor Baltazar Cherbonneau podobny był w białej swej szacie do czciciela jednej z tych krwawych religii, które rzucają trupy ludzkie na ołtarze swych bogów. Przypominał kapłana Vitzili-putzili, dzikiego bóstwa meksykańskiego, o którym mówi Heine w jednej balladzie, ale jego zamiary były na pewno łagodniejsze.

Doktor Cherbonneau zbliżył się do hrabiego Olafa Łabińskiego, leżącego nieruchomo, i wymówił

niewypowiedzianą zgłoskę, którą poszedł szybko powtórzyć głęboko uśpionemu Oktawiuszowi. Twarz doktora, zazwyczaj dziwaczna, przybrała w tej chwili wyraz niezwykłej powagi; potęga władzy, którą rozporządzał, uszlachetniała jego nieregularne rysy i gdyby ktoś ujrzał go, spełniającego tajemnicze obrzędy z iście kapłańską powagą, nie poznałby w nim hoffmannowskiego doktora, który wprost wołał o ołówek karykaturzysty.

Wówczas stało się coś dziwnego: Oktawiusz de Saville i hrabia Olaf Łabiński zaczęli równocześnie rzucać się jak gdyby w przedśmiertnych konwulsjach; twarze ich zmieniły się, lekka piana ukazała się na ich wargach; trupia bladość oblekła ich skórę; tymczasem dwa małe światełka niebieskawe i drżące zamigotały niepewnie ponad ich głowami.

Na błyskawiczny gest doktora, który zdawał się nakreślać im drogę w powietrzu, oba fosforyzujące punkciki poruszyły się i zostawiając za sobą smugę świetlną, udały się do swego nowego schronienia: dusza Oktawiusza zamieszkała w ciele hrabiego Łabińskiego, dusza hrabiego w ciele Oktawiusza; awatar był spełniony.

Lekki rumieniec na policzkach wskazywał, że życie zaczęło wstępować w tę glinę ludzką, która przez parę sekund pozbawiona była duszy i która stałaby się zdobyczą czarnego anioła, gdyby nie potęga lekarza.

Radość zwycięstwa zabłysła w niebieskich źrenicach doktora Cherbonneau, który mówił do siebie, chodząc wielkimi krokami po pokoju:

— Niechże to uczynią ci przesławni lekarze, dumni, że potrafią jako tako naprawić popsuty ludzki zegar. Hipokrates, Galem, Paracelsus, Van Helmont, Boerhaave, Tronchin, Hahnemann, Rasoni, najmarniejszy fakir indyjski, skulony na schodach pagody, umie tysiąc razy więcej niż wy! Mniejsza o trupa, jeśli się rozkazuje duchowi!

Skończywszy to zdanie, doktor Baltazar Cherbonneau zakręcił się w kółko z radości i zatańczył jak góry w Sir Haskim króla Salomona, przy czym omal nie upadł na nos, zaplątawszy

nogi w fałdy szaty bramińskiej; wypadek ten przyprowadził go do przytomności i powrócił mu zimną krew, — Obudźmy śpiących — rzekł doktor, zdjąwszy strój braminski i otarłszy kreski barwnego pudru, którym posmarował sobie twarz; stanąwszy przed ciałem hrabiego Łabińskiego z duszą Oktawiusza, uczynił kilka niezbędnych ruchów, aby go wydobyć ze stanu somnambulicznego, otrząsając za każdym gestem palce naładowane fluidem, który zbierał.

Po kilku minutach Oktawiusz Łabińskl (odtąd będziemy go nazywali tym imieniem dla jasności opowiadania) podniósł się, przetarł oczy rękoma i spojrzał naokoło wzrokiem zdumionym, którego nie rozjaśniała jeszcze świadomość własnego ja. Kiedy powróciło mu jasne pojmowanie przedmiotów, pierwszą rzeczą, którą ujrzał, był jego własny kształt leżący poza niań na kanapie. Widział siebie! Nie w odbitym zwierciadle, ale w rzeczywistości. Krzyknął; ten krzyk, nie brzmiący dźwiękiem jego głosu, wzbudził w nim przestrach; o zamianie dusz, dokonanej w śnie magnetycznym, stracił na chwilę pamięć i to go wprawiało w dziwnie przykry stan. Myśl jego obsługiwana przez nowe organy była jak robotnik, któremu zabrano jego zwyczajne narzędzia, aby mu dać inne. Przesiedlona Psyche biła niespokojnymi skrzydłami w sklepienie nieznanej czaszki i gubiła się w zwojach mózgu, w którym zostały jeszcze ślady obcych myśli.

— Cóż — zapytał doktor, nasyciwszy się zdziwieniem Oktawiusza Łabińskiego — jak się panu podoba nowe mieszkanie? Czy pańska dusza dobrze się czuje w ciele tego rycerza, hetmana, hospodara czy magnata, męża najpiękniejszej kobiety na świecie? Teraz już nie ma pan ochoty umrzeć, jak to było pańskim zamiarem wówczas, kiedy ujrzałem pana po raz pierwszy w smutnym mieszkaniu przy ulicy Saint-Lazare; teraz, kiedy bramy pałacu Łabińskich stoją panu otworem, kiedy się pan nie obawia, że Praskowia położy panu rękę na ustach przeczuwając, że pan zechce mówić jej o swojej miłości, jak niegdyś w willi Salviatich! Widzi pan, że stary Baltazar Cherbonneau, ze swoją twarzą starego

koczkodana, którą, gdyby zechciał, mógłby zamienić na inną, posiada jeszcze w swoim mieszku wcale niezłe recepty.

— Doktorze — odparł Oktawiusz Łabiński — posiadasz pan moc Boga albo przynajmniej szatana.

— Och! Nie obawiaj się pan, nie ma w tym żadnego demonizmu! Pańskie zbawienie nie jest zagrożone, nie każę panu podpisywać diabelskiego przymierza. Nie ma nic prostszego nad to, co się tutaj stało. Słowo, które stworzyło światło, może także przesiedlić duszę. Gdyby ludzie chcieli słuchać Boga poprzez czas i nieskończoność, to doprawdy potrafiliby niejedno.

— Jaką wdzięczność, jakie oddanie winienem panu za tę bezcenną usługę?

— Nic mi pan nie winien; zaciekawia mnie pan, a dla takiego starego, szczwanego lisa,jak ja, wygarbowanego na niejednym słońcu, nieugiętego w każdym wypadku, wzruszenie jest rzeczą rzadką. Odkryłeś mi pan miłość, a pan wie, że my, marzyciele, trochę alchemicy, trochę magicy, trochę filozofowie, szukamy wszyscy — mniej więcej — absolutu. Ale wstań pan, ruszaj się, chodź i przekonaj się, czy nowa skóra nie zanadto pana krępuje.

Oktawiusz Łabiński usłuchał doktora i przeszedł się parę razy po pokoju; już był mniej skrępowany; ciało hrabiego, chociaż zamieszkane przez inną duszę, zachowało popęd dawnych swych przyzwyczajeń i świeży gość zawierzył tym wspomnieniom fizycznym, gdyż zależało mu na przybraniu chodu, postawy i ruchów wygnanego właściciela.

— Gdybym był przed chwilą sam nie dokonał przeprowadzki waszych dusz — rzekł doktor, śmiejąc się — myślałbym, że nic nie zaszło tego wieczoru, i wziąłbym pana za prawdziwego, prawowitego i autentycznego hrabiego litewskiego, Olafa Łabińskiego, którego ja drzemie jeszcze w tej oto poczwarce, porzuconej przez pana z taką wzgardą. Ale północ wkrótce wybije; idź pan, żeby Praskowia nie gniewała się i nie zarzucała panu, że wolisz od niej lancknechta lub bakarata. Nie trzeba, aby pańskie pożycie małżeńskie rozpoczynało się od kłótni, to

byłoby złą wróżbą. Ja tymczasem zajmę się obudzeniem pańskiej dawnej powłoki z całą ostrożnością i względami, na jakie zasługuje.

Uznając słuszność uwag doktora, Oktawiusz Łabiński wyszedł pospiesznie. Przed bramą parskały niecierpliwie wspaniałe gniadosze hrabiego, które gryząc wędzidło, pokryły pianą cały bruk. Na odgłos kroków młodzieńca wspaniały zielony strzelec, z zaginionej rasy hajduków, rzucił się do stopnia i opuścił go z hałasem. Oktawiusz, który mechanicznie skierował się naprzód do swojego skromnego powozika, wsiadł do wysokiej i okazałej karety i dał rozkaz strzelcowi, który go rzucił woźnicy: „Do pałacu!”

Zaledwie zamknięto drzwiczki, konie ruszyły w podskokach, a godny następca Aknanzorów i Azolanów uwiesił się u szerokich sznurów z pasmanterii z chyżością, o jaką nikt by go nie posądził ze względu na wysoki wzrost.

Dla koni tej rasy droga od ulicy du Regard do przedmieścia Saint-Honore nie jest długa; przebiegły ją w kilku minutach, a woźnica zawołał stentorowym głosem: „Brama!”

Olbrzymie podwoje pchnięte przez szwajcara otworzyły przejazd dla karety, która, okoliwszy wielki dziedziniec wysypany piaskiem, zatrzymała się z całą dokładnością pod markizą w białe i różowe pasy.

Podwórze, które Oktawiusz Łabiński obejrzał szczegółowo z tą szybkością wtizji, którą dusza osiąga w pewnych uroczystych chwilach, było obszerne, otoczone symetrycznymi budynkami, oświetlone brązowymi świecznikami na postumentach, których gaz rzucał białe języki w kryształowe latarnie, podobne do tych, co ozdabiały ongiś Bucentaura; robiło to wrażenie raczej pałacu niż willi. Skrzynie z drzewami pomarańczowymi, godnymi tarasów wersalskich, poustawiane były w równych odstępach na asfalcie, który niby bordiura dywanu okalał piasek tworzący środek.

Biedny przekształcony kochanek musiał się zatrzymać chwilę, wstępując w próg, i przycisnąć ręką serce, aby powstrzymać jego bicie. Miał wprawdzie postać hrabiego Olafa

Łabińskiego, ale tylko zewnętrzny jego pozór; wszystkie wiadomości, które zawierał ten mózg, uciekły wraz z duszą pierwotnego właściciela, dom, który odtąd miał być jego domem, był mu nie znany, nie miał pojęcia o jego rozkładzie wewnętrznym; wstąpił na schody, które napotkał przed sobą, i szedł na chybił trafił, postanawiając złożyć możliwą pomyłkę na karb roztargnienia.

Stopnie z pumeksu olśniewały białością; odbijała od nich bogata czerwień szerokiego strzyżonego chodnika, przytrzymywanego prętami z pozłacanego mosiądzu, który wskazywał nogom miękką drogę; żardyniery, napełnione najpiękniejszymi kwiatami egzotycznymi, biegły w górę wraz z przechodniem.

Olbrzymia lampa, wycięta i dziurkowana, zawieszona na grubym sznurze z purpurowego jedwabiu ozdobionym chwastami i kokardami, wzniecała złotawe drżenia na ścianach pokrytych białym i gładkim jak marmur stiukiem i rzucała falę światła na kopię słynnej grupy *Amor i Psyche* Canovy, dzieło ręki samego mistrza.

Posadzka jedynego piętra wyłożona była mozaiką drogocennej roboty, a na ścianach wisiały na jedwabnych sznurach cztery obrazy Parysa Bordone, Bonifazia, Palmy Vecchia i Veronese'a, których architektoniczny i okazały styl harmonizował z przepychem schodów.

Na piętrze ukazały się wysokie drzwi przesłonięte szarszą, którą podtrzymywały pozłacane gwoździe; Oktawiusz Łabiński otwarł je i znalazł się w dużym przedpokoju, gdzie drzemało kilku lokai w liberiach, którzy słysząc jego kroki zerwali się, jak gdyby pchnięci jakąś sprężyną, i ustawili wzdłuż ścian z nieruchomością wschodnich niewolników.

Nie zatrzymując się Oktawiusz wszedł do biało-złotego salonu, gdzie nie było nikogo. Pociągnął za dzwonek. Za chwilę zjawiła się pokojówka.

— Czy pani może mnie przyjąć?

— Pani hrabina rozbiera się, ale za chwilę będzie mogła przyjąć pana hrabiego.

VII

Zostawszy sam na sam z ciałem Oktawiusza de Saville, w którym zamieszkała dusza hrabiego Olafa Łabińskiego, doktor Cherbonneau zabrał się do przywrócenia do życia tego martwego kształtu. Po kilku przesunięciach ręki Olaf de Saville (niech nam będzie wolno złączyć te dwa imiona dla oznaczenia podwójnej osobistości) wyłonił się jak widmo z kręgów głębokiego snu albo raczej katalepsji, która go przywiązywała nieruchomego i sztywnego do kanapy; podniósł się ruchem automatycznym, którym nie kierowała jeszcze wola, i zachwiał się od zawrotu głowy, co nie miał jeszcze czasu rozproszyć się. Przedmioty chwiały się wokoło niego, wcielenia Wisznu tańczyły sarabandę wzdłuż murów, doktor Cherbonneau ukazał mu się w postaci *sannayasiz* Elefanty, poruszając ramionami jak skrzydłami ptaka i tocząc swe niebieskie źrenice w jamach z brunatnych zmarszczek, podobnych do obwódek okularów; osobliwe widowiska, którym przyglądał się, zanim popadł w magnetyczny niebyt, oddziaływały na jego umysł, toteż powoli wracał do rzeczywistości; był jak człowiek śpiący duszony przez zmorę, który przebudziwszy się nagle, bierze za widziadła własne ubrania, rozrzucone na meblach w niepewnych kształtach człowieczych, i za płonące oczy cyklopów mosiężne spięcia u firanek, oświetlone po prostu refleksem lampki nocnej.

Mamidło rozwiewało się powoli; wszystko wróciło do zwykłego wyglądu; Baltazar Cherbonneau nie był już pokutnikiem indyjskim, lecz prostym doktorem medycyny, który uśmiechał się do swego klienta z banalną dobrodusznością.

— Czy pan hrabia zadowolony jest z tych kilku doświadczeń, które miałem zaszczyt zrobić przed nim? — zapytał tonem uniżonej pokory, w którym można było wyczuć delikatny odcień ironii. — Śmiem żywić nadzieję, że pan nie będzie żałował wieczoru i odejdzie przekonany o tym, że to, co opowiadają o magnetyzmie, nie jest bajką i kuglarstwem, jak utrzymuje oficjalna nauka.

Olaf de Saville skinął głową na znak zgody i wyszedł odprowadzony przez doktora Cherbonneau, kłaniającego się głęboko przy każdych drzwiach.

Powozik zajechał, ocierając się o stopnie, i dusza małżonka hrabiny Łabińskiej weszła do niego wraz z ciałem Oktawiusza de Saville, nie zdając sobie sprawy, że to nie jego liberia ani powóz.

Woźnica zapytał, gdzie ma jechać.

— Do domu — odparł Olaf de Saville, zdziwiony trochę, że nie poznaje głosu zielonego strzelca, który zazwyczaj zadawał mu to pytanie najbardziej zdecydowanym akcentem węgierskim. Powóz, w którym się znajdował, wyłożony był granatowym adamaszkiem, tymczasem jego kareta obita była atłasem koloru jaskrów i hrabia dziwił się tej różnicy, przyjmując ją tak, jak się to czyni we śnie, gdzie znane przedmioty przedstawiają się w kształtach odmiennych, dających się jednakże rozpoznawać; zdawało mu się również, że jest trochę mniejszy niż zazwyczaj; ponadto przypominał sobie, że przyszedł do doktora we fraku i że nie zmieniał ubrania, a teraz miał na sobie zarzutkę letnią z cienkiego materiału, która nigdy nie należała do jego garderoby; umysł jego odczuwał jakąś nieznaną przeszkodę, a myśli jego, tak jasne z rana, układały się z wielkim trudem. Przypisując ten dziwny stan osobliwym scenom tego wieczoru, oddał się ulotnym marzeniom i nieokreślonej senności, która nie była ani jawą, ani snem. Zatrzymujący się nagle powozik i głos woźnicy krzyczący: „Otwierać bramę!” przywołały go do przytomności; spuścił szybę, wychylił głowę i przy świetle latarni ujrzał nieznaną ulicę i dom, który nie był jego domem.

— Dokąd, u diabła, zawiozłeś mnie, ośle jeden? — zawołał. — Czyż to jest Faubourg Saint-Honore, pałac Łabińskich?

— Przepraszam pana, nie zrozumiałem — zamruczał woźnica, zawracając konia we wskazanym kierunku.

W drodze przeistoczony hrabia postawił sobie kilka pytań, na które nie znalazł odpowiedzi. W jaki sposób powóz jego odjechał bez niego, chociaż dał rozkaz, aby na niego czekano? W jaki sposób on sam znajdował się w obcym powozie? Przypuszczał, że lekka gorączka mąci jasność jego umysłu albo że doktor-cudotwórca, aby tym lepiej uderzyć w jego łatwowierność, dał mu do powąchania flakon haszyszu lub jakiś inny środek zamraczający, którego złudzenia rozproszą się po jednej przespanej nocy.

Powóz stanął przed pałacem Łabińskich; szwajcar, zagadnięty, nie chciał otworzyć bramy mówiąc, że tego wieczoru nie było przyjęcia, że pan przed godziną powrócił do domu, a pani udała się do swoich pokoi.

— Głupcze, czyś pijany, czy szalony? — krzyknął Olaf He Saville, odtrącając olbrzyma, który jak gigant rysował się na progu uchylonej bramy niby jeden z tych posągów brązowych, które w opowieściach arabskich bronią rycerzom wędrownym wejścia do zaczarowanych zamków.

— Tyś sam pijany lub szalony, mój paniczu — odpowiedział szwajcar, który ze szkarłatnego, jakim był zazwyczaj, stał się ze złości siny.

— Nędzniku — ryknął Olaf de Saville — gdybym się nie szanował…!

— Zamilcz albo połamię cię na kolanie i wyrzucę na trotuar — odparł olbrzym, otwierając rękę szerszą i większą od kolosalnej ręki gipsowej wystawionej u rękawicznika przy ulicy Richelieu. — Nie trzeba wywierać na mnie swej złości, mój paniczu, dlatego że się wypiło o jedną lub dwie butelki szampana za dużo.

Olaf de Saville, rozjątrzony, odepchnął szwajcara tak silnie, że wszedł do przedsionka. Kilku służących, którzy jeszcze nie spali, przybiegło na hałas sprzeczki.

— Wypędzam cię, gamoniu, rozbójniku, łajdaku! Nie chcę cię nawet na tę noc w pałacu; idź precz albo cię zabiję jak psa wściekłego! Nie zmuszaj mnie, bym przelał podłą krew lokaja.

Mówiąc to, wyzuty ze swego ciała, hrabia rzucił się z oczyma krwią nabiegłymi, z pianą na ustach, z zaciśniętymi pięściami na ogromnego szwajcara, który, ująwszy w jedną rękę obie ręce napastnika, zgniótł je prawie w swych krótkich i grubych palcach, mięsistych i guzowatych jak u średniowiecznego kata.

— Spokojnie — odezwał się olbrzym, człowiek zresztą dobroduszny, który, nie obawiając się już swego przeciwnika, dał mu parę szturchańców dla utrzymania go w respekcie. — Czy to sens doprowadzać się do takiego stanu, będąc ubranym jak człowiek z towarzystwa, i przychodzić zakłócać burdami nocnymi domy przyzwoitych ludzi? Trzeba mieć względy dla wina, a to, które pana upiło, musiało być przednie! I dlatego nie zatłukę pana, tylko przeniosę delikatnie na ulicę, gdzie patrol pana zabierze, jeśli pan nie zaprzestanie wrzasków; areszt odświeży panu myśli.

— Nikczemnicy — zawołał Olaf de Saville do lokai — pozwalacie, aby ten podły łajdak znieważał waszego pana, szlachetnego hrabiego Łabińskiego!

Słysząc to nazwisko lokaje uderzyli w jeden wielki szyderczy wrzask; ogromny, homeryczny, konwulsyjny wybuch śmiechu wzniósł wszystkie piersi wyszywane galonami:

— Ten panicz uważa się za hrabiego Łabińskiego! Ha ha ha, hi hi! A to pyszne!

Lodowaty pot zwilżył skronie Olafa Łabińskiego. Wstrząsająca myśl przeszyła mu mózg jak ostrze stali i czuł, że krew mu się ścina w żyłach. Czy to Smarra przygniótł mu piersi kolanem, czy też żył życiem rzeczywistym? Czy rozum jego zatonął w bezdennym oceanie magnetyzmu, czy też był igraszką jakichś szatańskich poczynań? Żaden z jego lokai tak drżących, tak pokornych, tak uniżonych wobec niego nie poznawał go. Czyżby mu zamieniono ciało, tak jak zamieniono ubranie i powóz?

— Ażeby pan był zupełnie pewny, że pan nie jest hrabią Łabińskim — odezwał się najbezczelniejszy z całej zgrai — spójrz pan tam, to właśnie hrabia schodzi po schodach, zwabiony hałasem pańskiej awantury.

Więzień szwajcara odwrócił głowę w głąb dziedzińca i ujrzał stojącego pod okapem młodego człowieka smukłej i wytwornej postawy, z twarzą owalną, z czarnymi oczyma, z nosem orlim, z miękkim wąsem, młodego człowieka, który był nim samym lub też jego widmem, modelowanym przez diabła z łudzącym podobieństwem.

Szwajcar puścił ręce swego więźnia. Lokaje ustawili się z szacunkiem pod ścianą ze spuszczonymi rękoma i wzrokiem, w zupełnej nieruchomości, jak i*czogłani*oczekujący padyszacha; oddawali widziadłu honory, których odmawiali rzeczywistemu hrabiemu.

Małżonek Praskowii, aczkolwiek nieustraszony jak Słowianin, a to dość powiedzieć, uczuł niewymowne przerażenie, widząc zbliżającego się Menechma, który, daleko straszliwszy niż ów teatralny, mieszał się do życia prawdziwego i czynił swego bliźniaka nie do poznania.

Przypomniał sobie starą legendę rodzinną, która zwiększyła jeszcze jego przestrach. Ilekroć któryś z Łabińskich miał umrzeć, dostawał ostrzeżenie od zjawy zupełnie podobnej do niego. U narodów północnych ujrzeć swego sobowtóra, chociażby we śnie, uchodziło zawsze za złą przepowiednię, toteż nieprzeparty, zabobonny lęk ogarnął walecznego wojownika z Kaukazu na widok tej zewnętrznej wizji swego własnego ja; on, który by pogrążył swe ramię w paszczy armaty gotowej do strzału, cofnął się przed sobą samym.

Oktawiusz Łabiński podszedł do swego dawnego kształtu, w którym drżała, miotała się i oburzała dusza hrabiego, i odezwał się tonem wyniosłej i lodowatej grzeczności:

— Przestań pan kompromitować się wobec lokai. Hrabia Łabiński, jeśli pan chce z nim mówić, przyjmuje od dwunastej do drugiej w południe. Hrabina przyjmuje w czwartki osoby, które miały zaszczyt być jej przedstawione.

Wypowiedziawszy te słowa z wolna i akcentując każdą zgłoskę, fałszywy hrabia odszedł krokiem spokojnym i drzwi zawarły się za nim.

Olafa de Saville zaniesiono zemdlonego 3o powozu. Kiedy odzyskał przytomność, spoczywał w łóżku, które nie miało kształtu jego łoża; nie przypominał sobie także, aby kiedykolwiek przebywał w pokoju, gdzie się znajdował; obok niego stał obcy służący, który podtrzymywał mu głowę i dawał do wąchania flakon z eterem.

— Czy panu lepiej? — zapytał Jan hrabiego, którego brał za swego pana.

— Tak — odparł Olaf de Saville — to było tylko przejściowe osłabienie.

— Czy mogę odejść, czy też mam czuwać przy panu?

— Nie, zostaw mnie samego, ale zanim odejdziesz, zapal świeczniki przy lustrze.

— Nie boi się pan, że to jasne światło nie pozwoli panu zasnąć?

— O nie, zresztą nie jestem jeszcze śpiący.

— Nie będę się kładł i gdyby pan potrzebował czegoś, przybiegnę na pierwszy głos dzwonka — rzekł Jan, zaniepokojony w duchu bladością i zmienionymi rysami hrabiego.

Kiedy Jan odszedł, zapaliwszy światła, hrabia rzucił się do lustra i w głębokim i czystym krysztale, w którym migotały światła, ujrzał młodą głowę, łagodną i smutną, z obfitymi czarnymi włosami, z ciemnolazurowymi oczyma, z bladymi policzkami okolonymi jedwabistą, brunatną brodą, głowę, która nie była jego i która z głębi zwierciadła patrzyła na niego z wyrazem zdziwienia. Z początku chciał sobie tłumaczyć, że to jakiś żartowniś wsunął swoją maskę w brzeg lustra, inkrustowany miedzią i perłową masą o ściętych, weneckich krawędziach. Sięgnął ręką poza lustro, uczuł tylko tafle posadzki; nie było nikogo.

Ręce, których dotknął, były chudsze, dłuższe, bardziej pożyłkowane; na palcu serdecznym wznosił się garb wielkiego

złotego pierścienia z awanturynem, na którym wyryty był herb — tarcza z pasem czerwonym i białym, a jako znak korona baronowska. Pierścień ten nie był nigdy własnością, hrabiego, który miał na złotej tarczy czarnego ulatującego orła ze złotym dziobem i takimiż szponami; powyżej korona o dziewięciu pałkach. Hrabia przeszukał sobie kieszenie i znalazł w nich niewielki portfel, zawierający bilety wizytowe z nazwiskiem: „Oktawiusz de Saville".

Śmiech lokai w pałacu Łabińskich, ukazanie się sobowtóra, nieznana twarz odbita w zwierciadle mogły być ostatecznie złudzeniem chorego mózgu; ale to obce ubranie, ten pierścień, który zdjął z palca, były dowodami materialnymi, dotykalnymi, były niezbitym świadectwem. Bez jego wiedzy odbyła się w nim zupełna metamorfoza; zapewne jakiś czarnoksiężnik albo może szatan ukradł mu jego postać, jego szlachectwo, jego nazwisko, całą jego istotę, zostawiając mu tylko duszę bez możności przejawienia jej.

Przypomniał sobie fantastyczne historie o Piotrze Schlemihlu i o Nocy Sylwestrowej; ale postacie Chamisso i Hoffmanna straciły, jedna swój cień, druga swoje odbicie w lustrze; a jeśli to osobliwe wyzbycie się lustrzanego odbicia, które wszyscy posiadają, było przyczyną niepokojących podejrzeń, to przynajmniej nikt im nie zarzucał, że nie są sobą.

Jego położenie było znacznie gorsze; nie mógł upomnieć się o tytuł hrabiego Łabińskiego w tej postaci, w jakiej go uwięziono. Wzięto by go za bezczelnego oszusta albo co najmniej za wariata. Nawet jego żona nie rozpoznałaby go pod tą kłamliwą powierzchownością. Jak wykazać swoją tożsamość? Zapewne, było mnóstwo poufnych szczegółów, tysiące tajemnych wydarzeń nie znanych nikomu, które, przypomniane Praskowii, mogłyby jej objawić duszę jej męża w tym przebraniu, ale co znaczy jedno przekonanie, w razie gdyby je uzyskał, wobec jednogłośnej opinii? Był naprawdę i zupełnie pozbawiony swego ja. Inna obawa: czy jego przeistoczenie ograniczało się do zewnętrznej zmiany postawy i rysów, czy też zamieszkiwał w rzeczywistości ciało innego człowieka? W tym wypadku co się

stało z jego ciałem? Czy pochłonęła je studnia, zapomnienia, czy też stało się własnością śmiałego złodzieja? Sobowtór z pałacu Łabińskich mógł być złudzeniem, halucynacją, ale również istotą fizyczną, żyjącą, mieszkającą w tej skórze, której z taką piekielną zręcznością pozbawił go ów lekarz o twarzy fakira.

Okropna myśl wbiła mu się w serce zębami żmii: „A może ten fałszywy hrabia Łabiński, wgnieciony w mój kształt rękoma demona, ten wampir, mieszkający obecnie w moim pałacu, którego słucha moja służba, stawia teraz swoją racicę na progu tego pokoju, do którego od pierwszego wieczoru wchodziłem zawsze z sercem wzruszonym, i może Praskowia uśmiecha się do niego łagodnie i z boskim rumieńcem pochyla uroczą swą głowę na ramię napiętnowane pazurem diabelskim, biorąc za mnie tę kłamliwą larwę, tego wilkołaka, tę empuzę, tego ohydnego syna ciemności i piekieł. Gdybym tak pobiegł do pałacu i podpalił go, ażeby poprzez płomienie móc zawołać do Praskowii: «Oszukują cię, ten, który spoczywa na twym sercu, to nie twój ukochany Olaf! Popełniasz nieświadomie ohydną zbrodnię, której nieszczęsna dusza moja nie zapomni nawet wtedy, kiedy ręce wieczności znużą się obracaniem klepsydry*”.

Fale płomienia napływały do mózgu hrabiego; wydawał niewyraźne okrzyki wściekłości, gryzł pięści, rzucał się po pokoju jak dzikie zwierzę. Niewiele brakowało do tego, aby szaleństwo ogarnęło ciemną świadomość jego własnego ja; podbiegł do toalety Oktawiusza, nalał wody na miednicę i zanurzył głowę, która aż parowała po tej lodowatej kąpieli.

Odzyskał zimną krew. Powiedział sobie, że minęły czasy czarodziejstwa i guseł; że tylko śmierć odłącza duszę od ciała; że nie porywa się w ten sposób w środku Paryża polskiego hrabiego, mającego milionowy kredyt u Rotszylda, spokrewnionego z najznakomitszymi rodzinami, męża kochanego przez kobietę *en vogue*, odznaczonego Orderem św. Andrzeja pierwszej klasy, i że to wszystko było zapewne tylko kiepskim żartem Baltazara Cherbonneau, który wyjaśni się

najnaturalniej w świecie, tak jak okropności z romansów Anny Radcliffe.

Ponieważ był zupełnie wyczerpany, rzucił się na łóżko Oktawiusza i usnął snem ciężkim, ciemnym, podobnym do śmierci, który trwał jeszcze, kiedy Jan, sądząc, że pan się obudził, przyszedł położyć na stoliku listy i gazety.

VIII

Hrabia otworzył oczy i spojrzał wokoło badawczym wzrokiem; ujrzał sypialnię wygodną, ale skromną; posadzkę zakrywał dywan cętkowany, imitujący skórę lamparta; firanki z materii, które Jan rozchylił, wisiały u okien i zasłaniały drzwi; ściany pokryte były jednostajnym, zielonym, matowym papierem naśladującym płótno. Na białym marmurowym kominku z niebieskimi żyłkami stał zegar, zrobiony z czarnej marmurowej płyty z tarczą platynową, nad którą wznosiła się srebrna oksydowana statuetka Diany z Gabies, skopiowana w pomniejszeniu przez Barbedienne'a, oraz dwie, również srebrne, wazy antyczne. Lustro weneckie, w którym hrabia odkrył poprzedniego dnia, że nie ma już swojej zwyczajnej twarzy, i portret kobiety w starszym wieku, zapewne matki Oktawiusza, malowany przez Flandrina, były jedyną ozdobą tego poważnego i nieco smutnego pokoju; kanapa, fotel wolterowski stojący obok kominka, stół z szufladami zarzucony książkami i papierami, tworzyły umeblowanie wygodne, lecz nie przypominające w niczym przepychu pałacu Łabińskich.

— Czy pan wstanie? — zapytał Jan głosem przyciszonym, który sobie przyswoił podczas choroby Oktawiusza, i podał hrabiemu koszulę kolorową, spodnie flanelowe i gandurę algierską, ubranie ranne swego pana. Chociaż hrabia czuł odrazę do cudzych ubrań, musiał, nie chcąc zostać nago, włożyć to, co mu podał Jan, po czym spuścił nogi na skórę niedźwiedzią, czarną i jedwabistą, służącą za dywanik.

Toaleta nie trwała długo i Jan nie mający widocznie najmniejszych wątpliwości co do tożsamości fałszywego Oktawiusza de Saville, któremu pomagał przy ubieraniu, zapytał:

— O której godzinie podać śniadanie?

— Jak zwykle — odparł hrabia, który nie chcąc mieć przeszkód w krokach, jakie zamierzał uczynić dla odzyskania swej osobowości, postanowił pozornie przyjmować swą niezrozumiałą transformację.

Po odejściu Jana,Olaf de Saville otwarł oba listy przyniesione wraz z gazetami, spodziewając się znaleźć w nich jakieś wskazówki. Pierwszy zawierał przyjacielskie wymówki i skargi na przerwane bez powodu dobre stosunki koleżeńskie; podpisany był nazwiskiem nie znanym hrabiemu. Drugi był od rejenta, który wzywał Oktawiusza, żeby przyszedł odebrać rentę za kwartał, gdyż termin dawno minął, albo żeby przynajmniej zadecydował, na co można by zużyć kapitały, leżące nieproduktywnie.

„No proszę — pomyślał hrabia — zdaje się, że Oktawiusz de Saville, którego skórę noszę wbrew mej woli, naprawdę istnieje; nie jest to istota fantastyczna, osobistość z Achima Arnima albo Klemensa Brentano; ma mieszkanie, przyjaciół, notariusza, rentę do pobrania, wszystko, co się składa na stanowisko społeczne dżentelmena. Mimo to zdaje mi się, że jestem hrabią Olafem Łabińskim”.

Spojrzenie w lustro przekonało go, że tego zdania nikt nie podzieli; zarówno w jasnym świetle dnia, jak i w niepewnym blasku świec odbicie było jednakowe.

Przeszukując dalej mieszkanie otworzył szuflady stołu; w jednej z nich znalazł papiery wartościowe, dwa tysiące franków i pięćdziesiąt luidorów, które przywłaszczył sobie bez skrupułu na cele wojny, jaką zamierzał rozpocząć, a w drugiej portfel juchtowy z tajemnym zamkiem.

Jan wszedł anonsując pana Alfreda Humberta, który wpadł do pokoju z poufałością starego przyjaciela, nie czekając, aż służący przyniesie mu odpowiedź pana.

— Dzień dobry, Oktawiuszu — rzekł nowo przybyły, piękny, młody człowiek z miną serdeczną i otwartą — co porabiasz, co się z tobą dzieje, czyś umarł, czy też żyjesz jeszcze? Nigdzie cię nie widać, a jak się do ciebie pisze, to nie odpowiadasz.

Powinienem się gniewać na ciebie, ale doprawdy w uczuciach nie znam miłości własnej i przychodzę uścisnąć ci rękę. Cóż, u licha, nie można przecież dopuścić do tego, aby kolega szkolny umarł z melancholii w głębi tego mieszkania, ponurego jak cela Karola Piątego w klasztorze w Yuste. Wyobrażasz sobie, że jesteś chory, a ty się tylko nudzisz; ale ja oię zmuszą do tego, żebyś się rozerwał, i przemocą zabieram cię na wesołe śniadanie, którym Gustaw Raimbaud grzebie swoją kawalerską wolność.

Wygłaszając tę tyradę tonem na pół gniewnym, na pól komicznym, ujął rękę hrabiego i wstrząsnął nią silnie na sposób angielski.

— Nie — odparł mąż Praskowii, wchodząc w ducha swej roli — jest mi gorzej niż zwykle, nie jestem usposobiony, mógłbym was zasmucić i krępować.

— W istocie, masz bladą i zmęczoną twarz, a więc innym razem! Uciekam, gdyż spóźniłem się o trzy tuziny świeżych ostryg i o butelkę Sauterne'a — powiedział Alfred idąc do drzwi — Raimbaud pogniewa się, jeżeli nie przyjdziesz.

Wizyta ta zwiększyła jeszcze smutek hrabiego. Jan wziął go za swego pana, Alfred za swego przyjaciela. Brakowało mu ostatniej próby. Drzwi się otwarły, a w nich ukazała się dama, której włosy poprzeplatane były srebrnymi nitkami i która w uderzający sposób przypominała portret wiszący na ścianie; usiadłszy na kanapie, odezwała się do hrabiego:

— Jak się miewasz, mój biedaku? Jan powiedział mi, że wróciłeś późno i że byłeś bardzo osłabiony; uważaj na siebie, mój chłopcze, wiesz przecież, jak cię kocham pomimo przykrości, jaką mi sprawia twój niewytłumaczony smutek, którego przyczyny nigdy nie chciałeś mi zdradzić.

— Nie obawiaj się, matko, to nic poważnego — odpowiedział Olaf de Saville — dzisiaj jest mi znacznie lepiej.

Pani de Saville, uspokojona, wstała i wyszła, nie chcąc krępować syna, który nie lubił, aby mu na dłuższy czas zakłócano samotność.

— A więc stanowczo jestem Oktawiuszem de Saville — zawołał hrabia po odejściu starej damy. — Jego matka uznaje mnie i nie czuje obcej duszy pod naskórkiem swego syna. Może na zawsze jestem zamknięty w tej powłoce. Jakim dziwnym więzieniem dla umysłu jest ciało innego! Jakże mi ciężko przestać być hrabią Olafem Łabińskim, stracić swój herb, swoją żonę, majątek i spaść do poziomu skromnego mieszczańskiego życia. Aby się uwolnić, gotów jestem potargać tę skórę Nessusa, która mnie wiąże, i tylko w kawałkach oddam ją pierwszemu jej właścicielowi. A gdybym tak wrócił do pałacu? Nie! Wywołałbym niepotrzebny skandal, szwajcar wyrzuciłby mnie za drzwi, ponieważ nie mam już siły w tym szlafroku chorego; szukajmy jeszcze, bo przecież muszę poznać trochę życia tego Oktawiusza de Saville, który jest obecnie mną. — I próbował otworzyć portfel. Sprężyna, dotknięta przypadkiem, ustąpiła i hrabia wyciągnął ze skórzanych mieszków najpierw jakieś papiery zaczernione drobnym i zwartym pismem, następnie ćwiartkę papieru welinowego; na welinowej ćwiartce niezbyt wprawna, lecz wierna ręka narysowała z pamięci serca i z podobieństwem, nie zawsze osiągalnym nawet dla wielkich artystów, portret ołówkiem hrabiny Praskowii Łabińskiej, której niepodobna było nie poznać na pierwszy rzut oka.

Odkrycie to wprawiło go w osłupienie. Po zdumieniu nastąpił szalony poryw zazdrości; skąd portret hrabiny znajdował się w tajnym portfelu tego nieznanego młodzieńca, skąd pochodził, kto go robił, kto mu go dał? Czyżby uwielbiana z takim nabożeństwem Praskowia zstąpiła z niebios swojej miłości w pospolitą intrygę? Jakież piekielne szyderstwo wcielało jego,, męża, w ciało kochanka tej kobiety uważanej dotąd za tak czystą? Z roli męża miał przejść do roli zalotnika! Zjadliwa metamorfoza, przestawienie położenia mogące przyprawić o szaleństwo; mógłby się sam pomylić, będąc równocześnie Klitandrem i Grzegorzem Dandin!

Wszystkie te myśli brzęczały tłumnie w jego czaszce; czując, że traci rozum, uczynił dla uzyskania spokoju ostatni wysiłek

woli. Nie słuchając Jana, który oznajmił, że śniadanie na stole, badał z nerwowym drżeniem zawartość tajemniczego portfelu.

Kartki tworzyły rodzaj dziennika psychologicznego, porzucanego i podejmowanego w rozmaitych epokach; oto kilka fragmentów, które hrabia pochłonął z trwożliwą ciekawością:

Nigdy mnie nie pokocha, nigdy, nigdy! Przeczytałem w jej słodkich oczach to słowo tak okrutne, że Dante nie znalazł twardszego dla napisania na brązowych odrzwiach Miasta Boleści: „Porzućcie wszelką nadzieją". Cóż uczyniłem Bogu, aby mnie żywcem potępił? Jutro, pojutrze, zawsze będzie to samo! Gwiazdy mogą krzyżować swój bieg, ciała niebieskie tworzyć węzły, mojego losu nic nie zmieni. Jednym słowem rozproszyła marzenie, jednym ruchem złamała skrzydła chimerze. Fantastyczne kombinacje niemożliwości nie dają mi żadnych widoków powodzenia; cyfry, rzucone miliard razy w koło fortuny, nie wyjdą, nie ma numeru wygrywającego dla mnie!

Nieszczęsny! Wiem, że raj dla mnie zamknięty, a mimo to siedzę jak głupiec na progu, oparłszy plecy o bramę, która się nie otworzy, i płaczę w milczeniu, bez szlochów, bez wysiłków, jak gdyby oczy moje były źródłami wody żywej. Nie mam odwagi zanurzyć się w niezmierzoną pustynię albo w zgiełkliwy Babel ludzi.

Nieraz w nocy, nie mogąc zasnąć, myślę o Praskowii; jeśli usnę, marzę o niej; och, jakże piękna była tego dnia w ogrodzie willi Salviatich we Florencji! Ta biała suknia i te czarne wstążki, to było urocze i pogrzebowe! Biały kolor dla niej, czarny dla mnie! Chwilami wstążki jej, poruszane wiatrem, tworzyły krzyż na tym tle olśniewającej białości; niewidzialny duch szeptał po cichu żałobną mszę mojego serca.

Gdyby jakaś niesłychana katastrofa włożyła mi na czoło koronę cesarzy lub kalifów, gdyby ziemia wysączyła dla mnie swe żyły złote, gdyby kopalnie diamentów w Golkondzie i w Visapur pozwoliły mi przeszukiwać swoje błyszczące złoża, gdyby lira Byrona rozbrzmiewała pod mymi palcami, gdyby najdoskonalsze arcydzieła sztuki starożytnej i nowoczesnej

użyczyły mi swej piękności, gdybym odkrył świat, to i tak nic by tmi z tego nie przyszło!

Od czego zależy przeznaczenie! Chciałem pojechać do Konstantynopola, nie byłbym jej spotkał; zostałem we Florencji, ujrzałem ją i umieram.

Mógłbym się zabić, ale ona oddycha tym powietrzem, w którym żyjemy, i może usta moje spragnione wciągną — o szczęście niewymowne! — dalekie tchnienie jej wonnego oddechu; potem przeznaczono by mojej występnej duszy jakąś planetę na wygnanie i nie miałbym szczęścia być kochanym przez nią w życiu przyszłym. Być rozdzielonym jeszcze na tamtym świecie, ona w raju, ja w piekle: rozpaczliwa myśl!

Dlaczego kocham jedyną właśnie kobietę, która nie może mnie kochać! Inne kobiety, wolne, uchodzące za piękne, uśmiechały się do mnie najczulszymi uśmiechami i zdawały się przyzywać wyznanie, które nie nadchodziło. O, jakiż on szczęśliwy, on! Jakież wzniosłe życie poprzednie nagradza Bóg wspaniałym darem tej miłości?

...Zbyteczne było czytać dalej. Podejrzenie, które hrabia mógł powziąć na widok portretu Praskowii, rozwiało się przy pierwszych linijkach tych smutnych zwierzeń. Zrozumiał, że obraz ukochany, zaczynany po sto razy, wypieszczony był z dala od modelu z tą niestrudzoną cierpliwością miłości nieszczęśliwej, i że to była madonna kapliczki mistycznej, przed którą korzyło się ubóstwienie pozbawione wszelkiej nadziei.

„A jeśli ten Oktawiusz zawarł przymierze z diabłem, aby mi ukraść ciało i pod moim kształtem zdobyć miłość Praskowii?!” — Chociaż myśl ta dziwnie go zaniepokoiła, porzucił ją jako zbyt nieprawdopodobną w XIX stuleciu.

Śmiejąc się ze swojej łatwowierności, zjadł wyziębione śniadanie, do którego usługiwał Jan, ubrał się, kazał zaprząc do powozu i pojechał do doktora Baltazara Cherbonneau. Przeszedł przez te sale, w które wstąpił poprzedniego dnia, nazywając się jeszcze hrabią Olafem Łabińskim, a z których wyszedł pozdrawiany przez wszystkich nazwiskiem Oktawiusza de Saville. Doktor Cherbonneau siedział jak zwykle

w ostatnim pokoju na kanapie, trzymając w rękach stopę, i zdawał się być pogrążony w głębokim rozmyślaniu.

Na odgłos kroków hrabiego doktor podniósł głowę.

— Ach, to pan, drogi panie Oktawiuszu; miałem pójść do pana; ale to dobry znak, jeżeli chory odwiedza lekarza.

— Zawsze Oktawiusz! — rzekł hrabia. — Zdaje mi się, że oszaleję wściekłości! — Po czym, skrzyżowawszy ręce, stanął przed doktorem i utkwiwszy w niego wzrok, odezwał się:

— Panie Cherbonneau, pan wie dobrze, że nie jestem Oktawiuszem, ale Olafem Łabińskim, ponieważ pan sam, tu, na tym miejscu, ukradł mi moją skórę za pomocą pańskich egzotycznych czarnoksięstw.

Słysząc to doktor wybuchnął wielkim śmiechem, oparł się o poduszki i wziął się za boki, aby powstrzymać spazmy swej wesołości.

— Miarkuj pan tę niewczesną radość, której mógłby pan pożałować. Mówię poważnie.

— Tym gorzej, tym gorzej! To dowodzi, że nieczułość i hipochondria, na którą leczyłem pana, przeradzają się w szaleństwo. Trzeba zmienić system leczenia, oto wszystko.

— Niewiele potrzeba, diabelski lekarzu, żebym cię udusił własnymi rękoma — zawołał hrabia podchodząc do doktora.

Doktor uśmiechnął się z pogróżki hrabiego, którego dotknął końcem laseczki stalowej. Olaf de Saville uczuł okropny wstrząs i myślał, że ma złamaną rękę.

— O, mamy jeszcze sposoby na opanowanie chorych, którzy się buntują — rzekł rzucając na hrabiego zimne jak tusz spojrzenie, które ujarzmia szalonych i obłaskawia lwy. Wróć pan do siebie, zażyj kąpieli, a podniecenie minie.

Olaf de Saville, odurzony wstrząsem elektrycznym, wyszedł od doktora Chsibonneau bardziej jeszcze niepewny i zaniepokojony. Kazał się zawieźć do Passy do doktora B., chcąc go prosić o radę.

— Podlegam dziwnej halucynacji — rzekł do sławnego lekarza. — Kiedy spojrzę w lustro, widzę twarz moją w innych niż zazwyczaj rysach; kształt przedmiotów otaczających mnie

zmienił się; nie poznaję ani ścian, ani mebli w moim pokoju; zdaje mi się, że jestem kimś innym.

— W jakiej postaci widzi się pan? — zapytał lekarz. — Pomyłka może pochodzić albo od oczu, albo z mózgu.

— Widzę siebie z czarnymi włosami, z ciemnoniebieskimi oczyma, z twarzą bladą, okoloną brodą.

— Rysopis z paszportu nie mógłby być dokładniejszy; nie ma u pana ani halucynacji mózgowej, ani wady wzroku. Jest pan w istocie taki, jak pan powiada.

— Ależ nie! W rzeczywistości mam jasne włosy, czarne oczy, cerę opaloną i wąsy zakręcone po węgiersku.

— Tutaj — odparł lekarz — zaczyna się lekkie wzburzenie władz umysłowych.

— Ale ja nie jestem szalony.

— Bez wątpienia. Tylko rozsądni przychodzą do mnie z własnej ochoty. Trochę zmęczenia, nadmiar pracy lub przyjemności są przyczyną tego zaburzenia. Pan się myli; obraz jest rzeczywisty, myśl chimeryczna: zamiast być blondynem, który się widzi brunetem, jest pan brunetem, który uważa się za blondyna.

— A mimo to wiem z całą pewnością, że jestem hrabią Olafem Łabińskim, a wszyscy od wczoraj nazywają mnie Oktawiuszem de Saville.

— To właśnie mówiłem — odparł lekarz. — Pan jest panem de Saville, a wyobraża sobie, że jest hrabią Łabińskim, którego zdaje mi się widziałem raz i który rzeczywiście jest blondynem. To doskonale tłumaczy, w jaki sposób znajduje pan inną twarz w zwierciadle; ta twarz, która jest pańską, nie odpowiada pańskiej idei wewnętrznej i zaskakuje pana. Pomyśl pan o tym, że cały świat nazywa pana Oktawiuszem de Saville i co za tym idzie, nie dzieli pańskiego przekonania. Zostań pan tutaj przez jakieś dwa tygodnie; kąpiele, odpoczynek, przechadzki w cieniu wielkich drzew rozproszą te szkodliwe wpływy.

Hrabia spuścił głowę i przyrzekł powrócić. Nie wiedział już, co ma myśleć. Wrócił do mieszkania przy ulicy Saint-Lazare i

ujrzał przypadkiem na stole zaproszenie hrabiny Łabińskiej, które Oktawiusz pokazywał doktorowi Cherbonneau.

— Z tym talizmanem — zawołał — mogę ją jutro zobaczyć!

IX

Kiedy lokaje odnieśli do powozu prawdziwego hrabiego Łabińskiego, wygnanego ze swego raju ziemskiego przez fałszywego anioła stróża stojącego na progu, przeistoczony Oktawiusz wszedł do biało-złotego salonu, aby oczekiwać wezwania hrabiny.

Oparty o biały marmur kominka, którego palenisko napełnione było kwiatami, widział swój obraz odbity w głębi lustra ustawionego symetrycznie na konsoli o nogach rzeźbionych i pozłacanych. Chociaż był wtajemniczony w swoją przemianę albo, mówiąc dokładniej, w swoje przemienienie, z trudem tłumaczył sobie, że ten obraz, tak odmienny od niego, był sobowtórem jego własnej twarzy, i nie mógł oderwać oczu od tego dziwnego zjawiska, które jednak stało się nim samym. Patrzał na siebie, a widział tamtego. Mimo woli szukał, czy hrabia Olaf nie oparł się obok niego o gzyms kominka, rzucając swe odbicie w lustro, ale nie było nikogo, doktor Cherbonneau sumiennie załatwił sprawę.

Po kilku minutach Oktawiusz Łabiński przestał się zastanawiać nad cudowną przemianą, dzięki której dusza jego przeszła w ciało małżonka Praskowii; myśli jego przybrały bieg odpowiedniejszy do jego położenia. To zdarzenie nieprawdopodobne, leżące poza wszelką możliwością, to, o czym najkapryśniejsza nadzieja nie śmiała marzyć w gorączce, to się stało! Miał się znaleźć wobec pięknej uwielbianej istoty, która go nie odtrąci! Jedyna możliwość, zdolna pogodzić jego szczęście z nienaruszoną cnotą hrabiny, stała się rzeczywistością!

W oczekiwaniu na tę najwyższą chwilę dusza jego odczuwała niepokój i straszliwą trwogę; nieśmiałość prawdziwej miłości

czyniła ją słabą, jak gdyby zamieszkiwała jeszcze wzgardzony kształt Oktawiusza de Saville.

Wejście panny służącej położyło kres zgiełkowi myśli, które się wzajemnie zwalczały. Na jej widok nie mógł opanować nerwowego drżenia i wszystka krew napłynęła mu do serca, kiedy usłyszał:

— Pani hrabina może już przyjąć pana hrabiego.

Oktawiusz Łabiński poszedł za panną służącą, gdyż nie znał zakątków pałacu, a nie chciał zdradzić się niepewnością swoich kroków.

Pokojowa wprowadziła go do obszernej gotowalni ozdobionej wszystkimi wymysłami najwytworniejszego zbytku. Szereg szaf z drogocennego drzewa, rzeźbionych przez Knechta i Lienharta, których drzwi poprzedzielane były kręconymi kolumnami, obwiniętymi w spiralach gałązkami powoju z listkami w kształcie serca, z kwiatami w formie dzwonków, wyciętymi z niesłychanym kunsztem, tworzyło rodzaj boazerii architektonicznej, jakiś kapryśny w stylu portyk rzadkiej wytworności w doskonałym wykonaniu; w tych szafach zamknięte były suknie z aksamitu i mory, kaszmiry, pelerynki, koronki, futra z soboli i z niebieskich lisów, kapelusze o tysiącznych kształtach, wszystkie przybory pięknej kobiety.

Naprzeciwko powtarzał się ten sam motyw, z tą różnicą, że ściany zastąpione były lustrami bujającymi na zawiasach jak skrzydła parawanu w ten sposób, ażeby się można było widzieć ze wszystkich stron i osądzić, czy stanik dobrze leży lub czy fryzura się udała. Na trzeciej ścianie stała długa gotowalnia z płytą alabastrową, skąd srebrnymi kurkami płynęła ciepła i zimna woda w ogromne czary japońskie, ujęte w biegnące kołem ornamenty z tego samego metalu; flakony z czeskiego kryształu, połyskujące przy blasku świec jak rubiny i diamenty, zawierały esencje i perfumy.

Ściany i sufit wyłożone były zielonym atłasem jak wnętrze szkatułki. Gruby dywan smyrneński, w miękko dobranych kolorach, watował posadzkę.

Na środku pokoju, na podstawie z zielonego aksamitu; stała wielka i dziwnego kształtu skrzynia z korassańskiej stali, cyzelowana, emaliowana i pokryta arabeskami tak skomplikowanymi, że ornamenty z Sali Ambasadorów w Alhambrze wydawałyby się proste. Zdawałoby się, że sztuka Wschodu wypowiedziała ostatnie swoje słowo w tej cudownej robocie, do której na pewno przyłożyły się ręce wieszczki Peri. Hrabina Łabińska przechowywała w tej skrzyni swoje kosztowności, klejnoty godne królowej, które wkładała bardzo rzadko w słusznym przekonaniu, że nie były warte miejsca, jakie zakrywały. Była zbyt piękna, aby potrzebowała klejnotów; mówił jej o tym jej instynkt kobiecy. Toteż wydobywała je na światło tylko w uroczystych okazjach, gdzie przepych starożytnego rodu Łabińskich musiał wystąpić z całą okazałością. Żądne brylanty nie miały tyle odpoczynku.

Obok okna, którego szerokie firanki spadały w sutych fałdach przed toaletą z oparciem, naprzeciw zwierciadła podtrzymywanego przez dwa anioły rzeźbione przez pannę de Fauveau z tą delikatną, lekką elegancją cechującą jej talent, siedziała oblana białym światłem dwóch kandelabrów po sześć świec hrabina Praskowia Łabińska, olśniewająca pięknością i młodością. Idealnej cienkości burnus tuniski w pasy białe i niebieskie, na przemian przezroczyste i nieprzezroczyste, okrywał ją jak miękka chmura; lekka materia opadła z jedwabistych ramion i odkrywała początek i nasadę szyi, przy której puch łabędzi wydawałby się szary. Między fałdami kłębiły się koronki batystowego szlafroczka, nocnego stroju nie przytrzymywanego żadnym paskiem; włosy hrabiny były rozpuszczone i spadały w obfitych splotach niby płaszcz cesarzowej. Kaskady płynnego złota, z których Wenus--Afrodyta wyciskała perły, klęcząc w konsze z masy perłowej, kiedy wyłaniała się jak kwiat z Morza Jońskiego, nie były z pewnością tak jasne, tak obfite, tak ciężkie! Zmieszajmy ambrę Tycjana, srebro Pawła Veronese'a ze złotem Rembrandta; przepuśćmy słońce przez topaz, a jeszcze nie otrzymamy cudownego tonu tych przepysznych włosów, które zdawały się rozsiewać blask

zamiast go przyjmować i które bardziej niż włosy Bereniki zasługiwały na to, aby lśnić jako nowa konstelacja pomiędzy dawnymi gwiazdami! Dwie służące rozdzielały te włosy, gładziły je, zwijały i układały w pukle starannie ściągnięte, ażeby dotknięcie poduszki nie zburzyło ich.

Podczas tej delikatnej czynności hrabina podrzucała na koniuszku nogi pantofelek z białego aksamitu, haftowany złotem, tak malutki, że mógłby wzbudzić zazdrość u odalisek padyszacha. Chwilami odrzucając jedwabiste fałdy burnusa odkrywała białe ramię i ruchem pełnym swawolnego wdzięku odrzucała nieposłuszne włosy.

Spoczywając w tej miękkiej pozie, przypominała smukłe figurki przy toalecie, zdobiące starożytne wazy greckie, których czystej i wdzięcznej linii, młodej i świeżej piękności nie zdołał powtórzyć żaden artysta; była stokroć piękniejsza niż w ogrodzie willi Salviatich we Florencji i gdyby Oktawiusz nie był już szalony z miłości, to stałby się nim na pewno, ale na szczęście nie można niczego dorzucić do czegoś, co bezgraniczne.

Na ten widok, jak gdyby to był najokropniejszy obraz, Oktawiusz Łabiński uczuł, że kolana zadrżały i ugięły się pod nim. Zaschło mu w ustach, trwoga chwyciła go za gardło jak ręka tuga; czerwone płatki zawirowały mu przed oczyma. Ta piękność przerażała go.

Zebrał całą odwagę i mówiąc sobie, że te wystraszone i głupie miny, zrozumiałe u odepchniętego kochanka, byłyby najzupełniej śmieszne ze strony męża, choćby bardzo jeszcze zakochanego w swej żonie, podszedł dość śmiało ku hrabinie.

— Ach, to ty, Olafie! Późno dziś wracasz — odezwała się hrabina, nie odwracając się, gdyż głowę jej przytrzymywały dwa długie sploty, które czesały służące, i wysuwając piękną swą rękę z fałdów burnusa, podała ją Oktawiuszowi.

Oktawiusz Łabiński pochwycił tę rękę delikatniejszą i świeższą od kwiatu, podniósł ją do ust i wycisnął na niej długi, gorący pocałunek — cała jego dusza skupiła się na tym jednym małym miejscu.

Nie wiem, jaka wrażliwość mimozy, jaki instynkt boskiej wstydliwości, jakie niewytłumaczone przeczucie serca ostrzegło hrabinę, ale różana chmura pokryła nagle jej twarz, szyję i ramiona, które nabrały tego tonu, jakim barwią się na wysokich górach dziewicze śniegi, zaskoczone pierwszym pocałunkiem słońca. Zadrżała i z wolna wysunęła rękę, na pół zagniewana, na pół zawstydzona; wargi Oktawiusza dotknęły jej jak rozpalone żelazo. Rychło jednak otrząsnęła się i zaśmiała ze swego dzieciństwa.

— Nic mi nie odpowiadasz? A czy wiesz, że nie widzieliśmy się przeszło sześć godzin; zaniedbujesz mnie — odezwała się tonem wymówki — niegdyś nie byłbyś mnie zostawił samej przez cały długi wieczór. Czy chociaż myślałeś o mnie?

— Ciągle — odparł Oktawiusz Łabiński.

— O nie, nie ciągle; ja czuję, kiedy myślisz o mnie, nawet z daleka. Na przykład dzisiaj wieczorem siedziałam sama przy fortepianie i grałam Webera, chcąc w muzyce ukołysać nudę; dusza twoja krążyła chwilę wokoło mnie w brzmiącym wirze tonów, ale z ostatnim akordem uleciała, nie wiem dokąd, i nie wróciła. Nie zaprzeczaj, jestem pewna tego, co mówię.

Hrabina nie myliła się; była to chwila, kiedy hrabia Olaf Łabiński pochylał się u doktora Cherbonneau nad czarą z wodą magiczną, wzywając ukochany obraz całą siłą uporczywej myśli. Od tego momentu hrabia, pogrążony w bezdennym oceanie snu magnetycznego, pozbawiony był myśli, uczucia i woli.

Służące odeszły, ukończywszy nocną toaletę hrabiny; Oktawiusz Łabiński stał ciągle, spoglądając na hrabinę płonącym wzrokiem. Skrępowana i palona tym spojrzeniem, hrabina okryła się burnusem jak Polihymnia swoją draperią. Tylko głowa ukazywała się sponad biało-niebieskich fałdów, niespokojna, lecz urocza.

Chociaż najbystrzejsza przenikliwość ludzka nie zdołałaby odgadnąć tajemniczej zamiany dusz dokonanej przez doktora Cherbonneau za pomocą formuły Brahmy-Logum, Praskowia nie dostrzegała w oczach Oktawiusza Łabińskiego zwykłego

wyrazu oczu Olafa, tego wyrazu miłości czystej, spokojnej, równej, wiecznej jak miłość aniołów; namiętność ludzka gorzała w tym spojrzeniu, które niepokoiło ją i oblewało rumieńcem. Nie zdawała sobie sprawy z tego, co się stało, ale czuła, że coś musiało zajść. Przychodziły jej do głowy najdziwniejsze przypuszczenia; czyżby była dla Olafa tylko pospolitą kobietą, pożądaną dla piękności jak kurtyzana? Czyżby wzniosły akord ich dusz zerwany został jakimś nie znanym jej dysonansem? A może Olaf kochał inną, może zepsucie Paryża skalało to czyste serce? Szybko zadawała sobie te pytania, nie mogąc znaleźć na nie zadowalającej odpowiedzi, i pomyślała sobie, że jest szalona, ale w głębi duszy czuła, że ma słuszność. Ogarniało ją tajemne przerażenie, jak gdyby była w obliczu niebezpieczeństwa nieznanego, lecz odgadywanego tym drugim wzrokiem duszy, którego na nieszczęście tak rzadko się słucha.

Hrabina, zdenerwowana i wzburzona, wstała i podeszła do drzwi sypialni. Fałszywy hrabia, objąwszy ją ramieniem, odprowadził ją jak Otello odprowadza Desdemonę po każdej scenie w dramacie Szekspira, lecz kiedy Praskowia znalazła się na progu, odwróciła się, przystanęła na chwilę biała i zimna jak posąg, spojrzała na młodzieńca przerażonym wzrokiem, weszła do sypialni, zatrzasnęła drzwi i zamknęła je na klucz.

— To wzrok Oktawiusza! — zawołała padając na pół zemdlona na szezlong. Oprzytomniawszy, pomyślała sobie: „Ale w jaki sposób wzrok Oktawiusza, którego wyrazu nigdy nie zapomnę, zamigotał dziś wieczorem w oczach Olafa? W jaki sposób dostrzegłam ponury i rozpaczliwy płomień lśniący w źrenicach mego męża?' Czyżby Oktawiusz umarł? Może to jego dusza zabłysła na chwilę przede mną, jak gdyby chciała pożegnać się ze mną, zanim porzuci tę ziemię? Olafie! Olafie! Jeśli się pomyliłam, jeśli w przystępie szaleństwa uległam próżnej obawie, ty mi przebaczysz; lecz gdybym cię była przyjęła dzisiejszej nocy, miałabym wrażenie, że oddaję się innemu.

Przekonawszy się, że drzwi dobrze zamknięte, hrabina zapaliła lampę wiszącą u sufitu, skuliła się w łóżku jak wystraszone dziecko, z uczuciem niewytłumaczonej trwogi, i zasnęła dopiero nad ranem. Dziwaczne i bezładne zjawy trapiły i niepokoiły ją we śnie. Palące oczy — oczy Oktawiusza — wpijały się w nią z głębi jakiejś mgły i rzucały w nią fale ognia, zaś u stóp łoża przycupnęła jakaś postać czarna, poorana zmarszczkami, mrucząca wyrazy w niezrozumiałym języku; hrabia Olaf ukazywał się również w tym niedorzecznym śnie, ale okryty powłoką, która nie była jego własną.

Nie będziemy usiłowali odmalowywać rozczarowania Oktawiusza, kiedy znalazł się wobec zamkniętych drzwi i usłyszał zgrzyt klucza od wewnątrz. Ostatnia nadzieja runęła! I cóż! Uciekł się do osobliwych, przerażających środków, oddał się czarownikowi, może szatanowi, narażając życie na tym, a duszę na tamtym świecie dla zdobycia kobiety, która mu się wymykała, mimo iż była wydana mu bezbronnie przy pomocy czarnoksięskich formuł Hindusa. Odepchnięty został nie tylko jako kochanek, ale także jako mąż; niepokonana czystość Praskowii urągała wszelkim piekielnym machinacjom. Na progu sypialni ukazała mu się jak biały anioł Swedenborga, piorunujący złego ducha.

Nie mógł jednakże pozostać przez całą noc w tym śmiesznym położeniu; poszukał apartamentów hrabiego i przeszedłszy cały szereg pokoi, znalazł jeden, gdzie pośrodku stało łoże z hebanowymi kolumnami, z gobelinowymi firankami, na których pośród gałęzi zieleni i arabesek wyhaftowane były herby. Zbroje wschodnie, pancerze i hełmy rycerzy oblane światłem lampy połyskiwały niepewnie w cieniu; skóra czeska, wyciskana w złote desenie, migotała na ścianach. Kilka rzeźbionych foteli i skrzynia ozdobiona figurkami dopełniały tego umeblowania w guście feudalnym,- które nie raziłoby w jakiejś wielkiej sali w zamku gotyckim; ze strony hrabiego nie było to jakieś puste naśladownictwo mody, lecz pełne pietyzmu wspomnienie. Ten pokój był dokładną reprodukcją tego, w którym mieszkał u matki, i chociaż nieraz żartowano sobie z

niego i z tej dekoracji z piątego aktu jakiejś tragedii, nigdy nie chciał zmienić stylu umeblowania.

Oktawiusz Łabiński, wyczerpany zmęczeniem i wzruszeniami, rzucił się na łóżko i zasnął, przeklinając doktora Cherbonneau. Na szczęście dzień przyniósł mu weselsze myśli; postanowił zachowywać się w sposób bardziej umiarkowany, przygasić swój wzrok i nabrać manier męża. Ubrał się starannie przy pomocy kamerdynera hrabiego i spokojnym krokiem udał się do jadalni, gdzie hrabina czekała na niego ze śniadaniem.

X

Oktawiusz Łabiński zszedł krok w krok za kamerdynerem, gdyż nie wiedział, gdzie znajduje się jadalnia w domu, którego zdawał się być panem. Obszerna sala stołowa, znajdująca się na parterze, a której okna wychodziły na podwórze, utrzymana była w stylu szlachetnym i poważnym, przypominającym zarówno dwór, jak i opactwo; boazeria z brunatnego dębu o ciepłym i soczystym tonie, podzielona na *panneaux*i na symetryczne kwadraty, biegła aż do sufitu, gdzie wystające i rzeźbione belki tworzyły sześciokątne kasetony pomalowane na niebiesko i ozdobione delikatnymi złotymi arabeskami; w długich *panneaux*boazerii Filip Rousseau wymalował cztery pory roku, usymbolizowane nie w postaciach mitologicznych, ale w trofeach martwej natury złożonych z produktów odpowiednich do każdej pory roku; upolowana zwierzyna Jadina tworzyła pendant do martwych natur Filipa Rousseau, a ponad każdym malowidłem błyszczał, jak krąg tarczy, olbrzymi półmisek Bernarda Palissy, Leonarda z Limoges lub też porcelany japońskiej albo majoliki, czy też garncarstwa arabskiego o polewie iryzującej wszystkimi kolorami pryzmatu; maszkary jeleni, rogi byków pustynnych występowały kolejno po fajansach, a na dwóch końcach sali wielkie kredensy, wysokie jak ołtarze w kościołach hiszpańskich, wznosiły swoją architekturą, starannie wykończoną i ozdobioną rzeźbami mogącymi współzawodniczyć z najpiękniejszymi dziełami Berruguete'a, Korneja Duąue i Verbruggena; na ich półkach zębatych połyski- * wały niewyraźnie srebra rodziny Łabińskich, dzbany o dziwacznych uchach, starodawne solniczki, kielichy, czary, ozdoby stołu powstałe w kapryśnej fantazji niemieckiej i godne znaleźć się w skarbcu „Pod

Zielonym Sklepieniem” w Dreźnie. Naprzeciw starodawnych sreber błyszczały cudowne wyroby złotnictwa nowoczesnego, arcydzieła Wagnera, Duponchela, Rudolphiego, Froment-Meurice'a; czajniki srebrne pozłacane, ozdobione figurkami Feuchere'a i Vechtego, tace szmelcowane, wiadra na szampan z uchami z winnych gałęzi, z bachanaliami w płaskorzeźbach; kociołki wytworne jak trójnogi pompejańskie; nie mówiąc już o kryształach czeskich, weneckich szkłach i serwisach ze starej porcelany saskiej i sewrskiej.

Wzdłuż ścian stały krzesła obite zielonym safianem, a na stół o nogach rzeźbionych w orle szpony padało od sufitu równe i czyste światło, złagodzone białymi matowymi szybami wypełniającymi kaseton środkowy, pozostawiony pusty. Przezroczysta girlanda winnej latorośli obramiała tę mleczną taflę zielonym liściem.

Na stole, zastawionym na sposób rosyjski, stały już owoce otoczone wieńcem fiołków, a potrawy oczekiwały na nóż biesiadnika pod pokrywami z polerowanego metalu lśniącego jak hełmy emirów; samowar moskiewski wyrzucał ze świstem obłoki pary; dwaj lokaje w krótkich pludrach i białych krawatach stali nieruchomo i w milczeniu, niby dwa posągi, za dwoma fotelami ustawionymi naprzeciw siebie.

Oktawiusz obrzucił szybkim spojrzeniem te szczegóły, żeby potem nie być mimo woli zaprzątniętym nowością przedmiotów, które powinny być mu znane.

Odwrócił się, słysząc lekki szmer na płytach posadzki i szelest tafty. Była to hrabina Praskowia, która podeszła i usiadła naprzeciw niego, powitawszy go przyjaźnie.

Ubrana była w jedwabny szlafroczek w zieloną i białą kratkę, ozdobiony ryszą z tego samego materiału wyciętą na brzegach w ząbki; włosy jej zebrane u czoła w grube sploty i związane nad karkiem w złote warkocze, podobne do ślimacznic z kapitelów jońskich, tworzyły uczesanie zarówno proste, jak szlachetne, w którym nawet rzeźbiarz grecki nie chciałby niczego zmienić; jej cera bladoróżowej róży przybladła nieco wskutek wzruszeń dnia poprzedniego i niespokojnego snu;

niedostrzegalna lśniąca aureola otaczała jej oczy, zazwyczaj tak spokojne i czyste; wyraz znużenia czynił ją bardziej rozczulającą, a przez to piękność jej stawała się jeszcze więcej ujmująca, nabierała czegoś ludzkiego; bogini stawała się kobietą; anioł, zwijając skrzydła, zniżał lot.

Oktawiusz, ostrożniejszy tym razem, przyćmił żar swego spojrzenia i swą niemą ekstazę pokrył obojętną miną.

Hrabina zatopiwszy swe maleńkie stopy, obute w pantofelki z brunatnoczerwonej skóry, w jedwabistej wełnie dywanu leżącego pod stołem dla ochrony przed zetknięciem się z zimną mozaiką z białego marmuru i brokateli z Werony, pokrywającą salę jadalną, wzdrygnęła się lekko, jak gdyby zmrożona ostatnim dreszczem gorączki, i utkwiwszy piękne swe oczy, błękitne jak niebo polarne, w biesiadniku, którego brała za swego męża, gdyż światło dnia rozwiało przeczucia, obawy i mary nocne, głosem słodkim i harmonijnym, pełnym przeczystej pieszczoty, odezwała się do niego po polsku!!! Często posługiwała się tym drogim językiem ojczystym, rozmawiając z mężem w chwilach słodkiej poufałości, nade wszystko zaś w obecności służby francuskiej, dla której mowa ta była obca.

Oktawiusz, paryżanin; umiał po łacinie, po włosku; po hiszpańsku i trochę po angielsku, ale, jak wszyscy Galloromanie, nie znał zupełnie języków słowiańskich. Kobylice spółgłosek, broniące rzadkich samogłosek w języku polskim, byłyby mu uniemożliwiły zbliżenie się, nawet gdyby był chciał otrzeć się o nie. We Florencji hrabina rozmawiała z nim zawsze po francusku albo po włosku, toteż nigdy nie pomyślał o nauczeniu się języka, w którym Mickiewicz dorównał prawie Byronowi. Nigdy się nie pomyśli o wszystkim!

Brzmienie tego polskiego zdania wywołało dziwny objaw w mózgu hrabiego, zamieszkiwanego przez ja Oktawiusza; dźwięki obce paryżaninowi, biegnące po skrętach ucha słowiańskiego, doszły do zwykłego miejsca, gdzie dusza Olafa odbierała je i tłumaczyła na myśli, i tym sposobem wzbudziły tam coś jak gdyby pamięć fizyczną; znaczenie ich dotarło do Oktawiusza w wielkim bezładzie; słowa zagrzebane w zwojach

mózgowych, w głębi tajemnych szuflad wspomnień, zaszumiały mu, gotowe do odpowiedzi; ale te nieokreślone przypomnienia rozwiały się, nie będąc w kontakcie z umysłem, i znów wszystko stało się ciemne. Zmieszanie zakochanego było okropne; nie pomyślał o tych komplikacjach, wciągając na siebie jak rękawiczkę skórę Olafa Łabińskiego, i zrozumiał, że kradnąc kształt drugiej istoty, człowiek naraża się na ciężkie niepowodzenia.

Zdziwiona milczeniem, Praskowia powtórzyła całe zdanie powoli i dobitnie, sądząc, że zajęty jakąś myślą, Oktawiusz nie dosłyszał jej.

Ale fałszywy hrabia im lepiej słyszał dźwięk słów, tym mniej rozumiał ich znaczenie; czynił rozpaczliwe wysiłki, aby domyślić się, o co mogło chodzić, ale dla tych, co nie znają tej mowy, języki Północy są zupełnie niezrozumiałe i jeśli Francuz może się czasem domyślić, co mówi Włoszka, to pozostanie głuchy zupełnie, słysząc mówiącą Polkę. Gorący rumieniec oblał bezwiednie jego twarz; zagryzł wargi i żeby nie stracić równowagi, przekroił z wściekłością kawałek mięsa leżący przed nim na talerzu.

— Doprawdy, można by przypuścić, drogi mój władco — odezwała się hrabina, tym razem po francusku — że nie słyszysz mnie albo że nie rozumiesz wcale…

— W istocie — wyjąkał Oktawiusz Łabiński, nie wiedząc, co mówi — …ten diabelski język jest tak trudny!

— Trudny? Tak, być może że jest trudny dla cudzoziemców, ale temu, kto szczebiotał nim na kolanach swej matki, płynie z ust jak oddech życia, jak sama fala myśli.

— Tak, zapewne, ale są chwile, kiedy mi się zdaje, że go nie pamiętam.

— Co ty mówisz, Olafie? Jak to! Ty byś miał zapomnieć języka twoich przodków, języka świętej ojczyzny, języka, po którym między ludźmi rozpoznajesz brata i — dodała ciszej nieco — języka, w którym po raz pierwszy powiedziałeś mi, że mnie kochasz?

— To może dlatego, że przyzwyczaiłem się używać innej mowy — napomknął hrabia nie wiedząc, jak się wykręcić.

— Olafie — odparła Praskowia z wyrzutem — widzę, że Paryż cię popsuł; miałam słuszność, broniąc się przed tą podróżą. Któż byłby to powiedział, że powróciwszy do swych posiadłości, hrabia Łabiński nie będzie umiał odpowiedzieć na powitanie swych poddanych?

Urocza twarz Praskowii przybrała bolesny wyraz; po raz pierwszy smutek rzucił cień na to anielsko czyste czoło; to niezwykłe zapomnienie raniło ją w najczulszą strunę duszy, wydawało się jej niemal zdradą.

Śniadanie skończyło się w milczeniu. Praskowia obraziła się na tego, którego uważała za swego męża. Oktawiusz był jak na mękach, gdyż obawiał się innych pytań, które musiałby zostawić bez odpowiedzi.

Hrabina wstała i udała się do swoich pokoi.

Po jej odejściu Oktawiusz siadł i począł bawić się rękojeścią noża, który miał ochotę wbić sobie w serce, gdyż położenie jego było nie do wytrzymania: liczył na podstęp, a teraz został wciągnięty bez wyjścia w labirynt życia, którego nie znał; biorąc postać hrabiego Łabińskiego, trzeba było wydrzeć mu także jego dawniejsze wiadomości, języki, jakimi władał, wspomnienia dzieciństwa, tysiączne poufne szczegóły, które tworzą ja człowieka, stosunki wiążące go z życiem innych ludzi; a do tego nie byłaby wystarczyła cała wiedza doktora Cherbonneau. O wściekłości! Być w raju, na którego progi *z* dala tylko ośmielał się spoglądać, mieszkać pod jednym dachem z Praskowią, patrzeć na nią, rozmawiać, całować piękną jej rękę ustami jej męża, a nie móc oszukać jej niebiańskiej wstydliwości i zdradzać się na każdym kroku jakimś niewytłumaczonym głupstwem! „Napisane było tam — w górze, że Praskowią nie pokocha mnie nigdy! A jednak uczyniłem największe poświęcenie, do jakiego może zniżyć się dusza ludzka: wyrzekłem się mojego ja i pod obcym kształtem zgodziłem się skorzystać z pieszczot przeznaczonych dla innego!”

W tym miejscu jego monologu zjawił się przed nim groom i kłaniając się z największym uszanowaniem, zapytał, na jakim koniu zechce dziś jechać…

Widząc, że hrabia nie odpowiada, groom ośmielił się szepnąć, przerażony swą śmiałością:

— Vultur i Rustem stoją od ośmiu dni.

— Niech będzie Rustem — odparł Oktawiusz Łabiński, tak jakby był odpowiedział Vultur, ale to drugie imię utkwiło mu w roztargnionym umyśle.

Przebrał się i pojechał do Lasku Bulońskiego, chcąc w kąpieli słonecznej orzeźwić swoją egzaltację nerwową.

Rustema, wspaniałego zwierzęcia z rasy z Nedjed, co na swej piersi, w orientalnym aksamitnym woreczku haftowanym złotem, nosił dowody swego szlachectwa sięgającego pierwszych lat hegiru, nie potrzeba było podniecać. Zdawał się rozumieć myśli jeźdźca i kiedy tylko porzucił bruk i poczuł pod kopytami ziemię, puścił się jak strzała, nie dotknięty nawet ostrogą Oktawiusza. Po dwóch godzinach szalonej jazdy jeździec i koń wrócili do pałacu, pierwszy uspokojony, drugi dymiący i z czerwonymi nozdrzami.

Mniemany hrabia udał się do apartamentów hrabiny, którą zastał w salonie ubraną w suknię z białej tafty z falbankami sięgającymi aż po pasek, ze wstążką we włosach, gdyż był to właśnie czwartek — dzień, kiedy zostawała w domu i przyjmowała wizyty.

— I cóż — spytała go z uroczym uśmiechem, gdyż gniew niedługo gościł na pięknych jej ustach — odzyskałeś pamięć, goniąc po ścieżkach Lasku?

— Niestety, nie — odparł hrabia — ale muszę uczynić ci pewne wyznanie.

— Czyż nie znam z góry wszystkich twoich myśli? Czyż nie przenikamy się wzajemnie?

— Byłem wczoraj u lekarza, o którym tyle mówią.

— Tak, u doktora Cherbonneau, który długie lata spędził w Indiach i nauczył się od braminów mnóstwa zdumiewających

cudów. Chciałeś mnie nawet zabrać z sobą, ale ja nie jestem ciekawa, wiem, że mnie kochasz, a ta wiedza wystarcza mi.

— Uczynił w mojej obecności kilka tak ciekawych doświadczeń, dokonał takich cudów, że jeszcze mi się mąci w głowie. Ten dziwny człowiek, rozporządzający nieprzepartą siłą, pogrążył mnie w tak głębokim śnie magnetycznym, że po obudzeniu nie odnalazłem wszystkich moich władz; straciłem pamięć wielu rzeczy; przeszłość okryła się jakąś niewyraźną mgławicą, jedynie tylko miłość moja do ciebie pozostała nienaruszona.

— Źle uczyniłeś, Olafie, poddając się wpływowi tego lekarza — odrzekła poważnym tonem hrabina Praskowia i Bóg tylko jeden, który stworzył duszę, ma prawo doświadczać ją; ale człowiek, wystawiając ją na próbę, popełnia czyn bezbożny. Spodziewam się, że nie powrócisz tam więcej i że kiedy ci powiem coś miłego po polsku, zrozumiesz mnie jak dawniej.

Podczas konnej przejażdżki Oktawiusz wymyślił to wymawianie się magnetyzmem, aby upozorować swoje pomyłki, które mogły się piętrzyć w jego nowej egzystencji. Ale nie był to jeszcze koniec jego mąk. Służący, otwierając drzwi, zaanonsował gościa.

— Pan Oktawiusz de Saville.

Chociaż powinien był spodziewać się wcześniej czy później tego spotkania, prawdziwy Oktawiusz zbladł, słysząc te proste słowa, jak gdyby trąby sądu ostatecznego zagrały mu nagle nad uchem. Aby nie zachwiać się, musiał się uciec do całej swej odwagi i powiedzieć sobie, że położenie jego było lepsze; palce jego wpiły się instynktownie w oparcie kanapki i w ten sposób zdołał utrzymać się prosto, na pozór spokojny i pewny siebie.

Hrabia Olaf w postaci Oktawiusza zbliżył się do hrabiny i ukłonił głęboko.

— Mój mąż… Pan de Saville… — przedstawiła hrabina. Obaj mężczyźni skłonili się zimno, rzucając sobie dzikie spojrzenia poprzez marmurową maskę grzeczności światowej, która często pokrywa tyle okropnych namiętności.

— Gniewał się pan na mnie od czasu Florencji — odezwała się hrabina serdecznym i przyjacielskim tonem — i obawiałam się, że opuszczę Paryż, nie zobaczywszy pana. W willi Salviatich był pan częstszym gościem i wtedy należał pan do moich najwierniejszych przyjaciół.

— Przepraszam panią — odparł fałszywy Oktawiusz tonem wymuszonym — ale podróżowałem, byłem niezdrów, nawet chory, i otrzymawszy miłe zaproszenie pani, namyślałem się, czy mam z niego skorzystać, gdyż nie powinno się być samolubem i nadużywać pobłażliwości, jaką się miewa dla nudziarza.

— Może znudzonego, ale nigdy nudziarza — odpowiedziała hrabina. — Pan zawsze był melancholikiem, lecz czyż jeden z waszych poetów nie powiedział o melancholii: „Po bezczynności najlepsze to zło”.

— To pogłoski, które rozpuszczają ludzie szczęśliwi, aby się uwolnić od uczucia litości nad tymi, co cierpią — rzekł Olaf de Saville.

Hrabina spojrzała niewypowiedzianie słodko na hrabiego, uwięzionego w postaci Oktawiusza, jak gdyby chciała prosić go o przebaczenie za miłość, którą natchnęła go niechcący.

— Nie jestem tak pusta, za jaką mnie pan uważa; lituję się nad każdym prawdziwym cierpieniem, a jeżeli nie mogę mu ulżyć, umiem z nim współczuć. Chciałam pana widzieć szczęśliwym, drogi panie Oktawiuszu, ale dlaczego zawarował się pan w swoim smutku, odpychając z uporem życie, które niosło panu szczęście, radości i obowiązki? Dlaczego odrzucił pan przyjaźń, którą panu ofiarowałam?

Te proste i szczere słowa wywołały odmienne wrażenie u obu słuchaczy. Oktawiusz wysłuchał w nich potwierdzenia wyroku wypowiedzianego w ogrodzie willi Salviatich przez te piękne usta, co nigdy nie splamiły się kłamstwem; Olaf czerpał z nich dowód nieugiętej cnoty żony, która mogła upaść jedynie tylko za sprawą diabelską. Toteż nagła wściekłość ogarnęła go na widok swego widma, ożywionego inną duszą, zamieszkującego jego własny dom, i porwał za gardło fałszywego hrabiego.

— Złodzieju, rozbójniku, łotrze, oddaj mi moją skórę! Widząc ten niezwykły wybuch, hrabina chwyciła za
dzwonek, a lokaje wynieśli hrabiego.

— Ten biedny Oktawiusz oszalał! — odezwała się hrabina, kiedy wynoszono Olafa, broniącego się na próżno.

— Tak — odparł prawdziwy Oktawiusz — oszalał z miłości, Moja droga, jesteś doprawdy zbyt piękna!

XI

W dwie godziny po tej scenie fałszywy hrabia otrzymał od prawdziwego list zamknięty pieczęcią Oktawiusza de Saville; nieszczęsny, ogołocony hrabia nie miał pod ręką innej. Z dziwnym wrażeniem otwierał uzurpator istoty Olafa Łabińskiego pismo zapieczętowane swoją własną pieczęcią, ale w tym nienaturalnym położeniu wszystko musiało być osobliwe.

List zawierał następujące zdania, nakreślone wymuszonym i jak gdyby zmienionym pismem, gdyż Olaf nie miał czasu przyzwyczaić się do pisania ręką Oktawiusza:

Przeczytany przez kogoś innego niż pan, list ten wydawałby się pisany w domu obłąkanych, ale pan mnie zrozumie. Niewytłumaczony zbieg fatalnych okoliczności, które może nigdy jeszcze nie zdarzyły się, odkąd ziemia krąży około słońca, każe mi uczynić to, czego nikt jeszcze nie uczynił. Piszę do siebie samego, a na kopercie kładę nazwisko, które jest moim, a które pan ukradłeś mi wraz z moją osobą. Jakich ciemnych knowań stałem się ofiarą, w jakie zaklęte koło omamień dostałem się, tego nie wiem — pan wie to zapewne.

Jeśli pan nie jesteś tchórzem, to lufa mego pistoletu albo ostrze mej szpady zapyta pana o tę tajemnicę na terenie, gdzie każdy człowiek uczciwy czy nikczemny odpowiada na stawiane mu pytania; dla jednego z nas światło dnia musi jutro zagasnąć. Ten wszechświat szeroki za ciasny jest teraz dla nas obu: zabiję moje ciało, zamieszkiwane przez pańską duszę oszusta, albo pan zabije moje, przed którym wzdraga się moja uwięziona dusza. Niech pan nie usiłuje ogłosić mnie za wariata, będę miał odwagę być rozsądny i wszędzie, gdzie pana spotkam, znieważę pana z grzecznością szlachcica, z zimną krwią dyplomaty; wąsy

hrabiego Olafa Łabińskiego mogą się nie podobać panu Oktawiuszowi de Saville i codziennie można sobie nastąpić na nogę przy wyjściu z opery, ale spodziewam się, że moje słowa, aczkolwiek niejasne, nie będą dla pana niezrozumiałe i że moi świadkowie porozumieją się doskonale z pańskimi co do godziny, miejsca i warunków pojedynku.

List ten wprawił Oktawiusza w wielkie zakłopotanie. Nie mógł nie przyjąć wyzwania hrabiego, a jednak czuł odrazę do walki z samym sobą, gdyż dla swej dawnej powłoki zachował pewną tkliwość. Myśl, że mógł być zmuszony do tej walki jawną jakąś zniewagą, skłoniła go do przyjęcia wyzwania, chociaż ostatecznie mógł był kazać nałożyć na przeciwnika kaftan bezpieczeństwa i w ten sposób powstrzymać jego ramię; jednakże subtelność jego uczuć czuła wstręt do takich gwałtownych sposobów. Jeżeli, porwany niepokonaną namiętnością, popełnił czyn niegodny i ukrył kochanka pod maską męża, aby podbić niezwyciężoną cnotę, to jednakże nie był ani nieuczciwy, ani lękliwy; do tego ostatecznego sposobu uciekł się dopiero po trzech latach walk i cierpień, w chwili kiedy życie jego trawione miłością miało już ulecieć. Nie znał hrabiego; nie był jego przyjacielem; nie zawdzięczał mu niczego i skorzystał z ryzykownego środka, który mu nastręczył doktor Cherbonneau.

Skąd wziąć świadków? Zapewne spośród przyjaciół hrabiego, ale Oktawiusz, mieszkający w pałacu jeden dzień zaledwie, nie miał czasu zapoznać się z nimi.

Na kominku rysowały się okrągłym kształtem dwie czary chińskie z seladonu, o uchach w formie złotych smoków. Jedna zawierała pierścienie, szpilki, pieczęcie i inne drobne przedmioty; druga bilety wizytowe, gdzie pod koronami książąt, margrabiów, hrabiów wyryte było starannie pismem gotyckim, rondowym lub angielskim mnóstwo nazwisk polskich, rosyjskich, węgierskich, niemieckich, włoskich, hiszpańskich, świadczących o podróżniczym życiu hrabiego, który miał przyjaciół na całym świecie.

Oktawiusz wziął dwa na chybił trafił: hrabia Zamojecki i margrabia de Sepulveda. Kazał zaprząc i pojechał do nich. Obu zastał w domu. Nie zdziwili się wcale prośbą tego, którego brali za hrabiego Łabińskiego. Zupełnie pozbawieni uczuciowości świadków mieszczańskich, nie wspomnieli nawet o załagodzeniu sprawy i jak prawdziwi szlachcice nie zapytali wcale o powody sprzeczki.

Ze swej strony prawdziwy hrabia, albo jeśli wolicie, fałszywy Oktawiusz, był w tym samym kłopocie; przypomniał sobie Alfreda Humberta i Gustawa Raimbauda, od których nie przyjął zaproszenia na śniadanie, i nakłonił ich, żeby byli jego świadkami w pojedynku. Obaj młodzieńcy zdziwili się trochę sprawą honorową przyjaciela, który prawie od roku nie wychodził ze swego pokoju i który odznaczał się usposobieniem raczej spokojnym niż wojowniczym; ale kiedy im powiedział, że chodzi o walkę na śmierć z przyczyny, której nie może wyjawić, nie podnieśli żadnego zarzutu więcej i udali się do pałacu Łabińskich.

Warunki zostały szybko zadecydowane. Złota moneta rzucona w górę rozstrzygnęła o broni, gdyż przeciwnicy oświadczyli, że im wszystko jedno, czy szpada, czy pistolety. Mieli się spotkać o szóstej z rana w Lasku Bulońskim, na avenue des Poteaux, obok strzechy podtrzymywanej przez proste słupy, na placu wolnym od drzew, gdzie nagromadzony piasek tworzy arenę odpowiednią do takiej walki.

Kiedy wszystko zostało ułożone, była już północ i Oktawiusz udał się do pokoju hrabiny. Drzwi były zamknięte tak jak poprzedniej nocy i głos Praskowii zabrzmiał drwiąco:

— Przyjdź, gdy się nauczysz po polsku, jestem zbyt wielką patriotką, aby przyjmować u siebie cudzoziemców.

Nazajutrz, zawiadomiony przez Oktawiusza, zjawił się doktor Cherbonneau, przynosząc z sobą walizkę z instrumentami chirurgicznymi i opatrunkami. Wsiedli razem do powozu. Hrabia Zamojecki i margrabia de Sepulveda jechali za nimi w drugim.

— No cóż, drogi Oktawiuszu, pańska przygoda miłosna już zaczyna przybierać charakter tragiczny? Powinienem był przynajmniej jakiś tydzień pozwolić hrabiemu pospać sobie u mnie na kanapie. Nawet i poza tę granicę przedłużałem sen magnetyczny. Ale żeby nie wiem jak zgłębiać mądrość braminów, pandytów i pokutników indyjskich, to i tak o czymś się zapomni i zawsze się znajdą niedokładności w najlepiej obmyślanym planie. Ale jakże hrabina Praskowia przyjęła swego zakochanego przyjaciela z Florencji, przebranego w ten sposób?

— Sądzę .— odparł Oktawiusz — że mnie poznała mimo mej metamorfozy, a może anioł stróż szepnął jej do ucha, żeby mi nie dowierzała; zastałem ją równie białą, czystą i zimną jak śniegi podbiegunowe. Pod ukochanym kształtem jej dusza bez zmazy odgadła niewątpliwie obcą duszę. Powiedziałem panu przecież, że pan nic dla mnie nie może uczynić. Jestem jeszcze bardziej nieszczęśliwy niż wtedy, kiedy pan odwiedził mnie po raz pierwszy.

— Któż może wyznaczyć granice władzom duszy — odparł Baltazar Cherbonneau z miną zamyśloną — zwłaszcza jeśli ta dusza nie jest zepsuta żadną myślą ludzką, nie skażona żadnym błotem ludzkim i utrzymuje się taka, jaka wyszła z rąk Stworzyciela, w świetle, w kontemplacji miłości? Tak, ma pan słuszność, ona poznała pana; jej anielska wstydliwość zadrżała pod pożądliwym spojrzeniem i instynktownie zasłoniła się swymi białymi skrzydłami. Żal mi pana, mój biedny Oktawiuszu! Pańska choroba jest istotnie nieuleczalna . Gdybyśmy żyli w średniowieczu, powiedziałbym panu: wstąp do klasztoru.

— Nieraz o tym myślałem — odparł Oktawiusz. Przyjechali do Lasku. Powóz fałszywego Oktawiusza czekał już na umówionym miejscu.

O tej rannej godzinie Lasek miał istotnie malowniczy urok, który później, przy napływie eleganckiego świata, zaciera się w zupełności; była to pora letnia, kiedy słońce nie miało jeszcze czasu przyciemnić zieleni liści; świeże, przezroczyste barwy,

skąpane nocną rosą, nadawały rozmaite odcienie zaroślom, od których płynął zapach młodej roślinności. W tym miejscu drzewa są szczególnie piękne i czy to z powodu korzystnego gruntu, czy też że jedyne ostały się z dawnej plantacji, silne ich pnie, pokryte mchem albo lśniącą, srebrzystą korą, zatapiają w ziemią guzowate korzenie, wznosząc gałęzie dziwacznie poskręcane, mogące służyć za modele dla malarzy i dekoratorów, co zazwyczaj daleko szukają kształtów mniej charakterystycznych. Niektóre ptaki, milknące wśród zgiełku dnia, ćwierkały wesoło w gęstwinie drzew; skradający się zając trzema skokami przemierzył piasek alei i popędził schować się w trawie, wystraszony turkotem kół.

Ta poezja natury, zaskoczonej w rannym stroju, mało zajmowała, jak się domyślacie, obu przeciwników i ich świadków.

Widok doktora Cherbonneau zrobił przykre wrażenie na Olafie Łabińskim, który jednak rychło otrząsnął się z tego.

Zmierzono szpady i wyznaczono miejsca walczącym, którzy zrzuciwszy ubranie, złożyli się ostrzem o ostrze.

Świadkowie zawołali: „Zaczynać!”

W każdym pojedynku, nawet między najbardziej zacietrzewionymi przeciwnikami, jest chwila uroczystego spokoju; każdy z walczących studiuje w milczeniu swego wroga i układa swój plan, rozmyślając nad sposobem natarcia i obroną; następnie szpady szukają się, drażnią i jak gdyby dotykają, nie rozłączając się; to trwa parę sekund, które dla zaniepokojonych świadków wydają się minutami, godzinami.

Tutaj warunki pojedynku, z pozoru zwyczajne dla widzów, były tak osobliwe dla walczących, że składali się dłużej, niż się to zwykle zdarza. W istocie, każdy z nich miał przed sobą swój własny kształt i miał zatopić stal we własne ciało, które wczoraj jeszcze należało do niego. Walka stawała się tu raczej nieprzewidzianym samobójstwem i chociaż obaj odważni, Oktawiusz i hrabia odczuwali instynktowną grozę, stojąc ze szpadą w ręce i gotując się do natarcia na swoje własne widma.

Zniecierpliwieni świadkowie chcieli zawołać raz jeszcze: „Ależ panowie, zaczynajcie!”, kiedy żelaza otarły się grzbietami swych ostrz.

Kilka starć sparowano szybko z jednej i z drugiej strony.

Hrabia, dzięki swemu wychowaniu wojskowemu, był zręcznym szermierzem; nieraz dotknął napierśnika najsłynniejszych szermierzy; ale chociaż posiadał teorię, nie miał już możności wprowadzenia jej w czyn w tym nerwowym ramieniu, przyzwyczajonym do napędzania strachu muridom Szamila: teraz słaba ręka Oktawiusza trzymała jego szpadę!

Przeciwnie, Oktawiusz w ciele hrabiego odczuwał nieznaną siłę i chociaż mniej biegły w szermierce, odgarniał ciągle od piersi żelazo, które jej szukało.

Na próżno usiłował Olaf dosięgnąć przeciwnika ryzykownymi pchnięciami. Oktawiusz, zimniejszy i bardziej opanowany, obracał wniwecz wszystkie zwodzone cięcia.

Gniew opanował hrabiego, którego walka stała się nerwowa i bezładna. Za cenę tego, że pozostanie na zawsze Oktawiuszem da Saville, chciał zabić to ciało oszusta, które mogło oszukać Praskowię; myśl ta przyprawiała go o niewypowiedzianą wściekłość.

Narażając się na przeszycie, uciekł się do zręcznego fortelu, aby poprzez własne ciało dotrzeć do duszy i życia rywala; ale szpada Oktawiusza zawinęła się koło jego szpady ruchem tak szybkim, tak suchym, tak niepokonanym, że żelazo wytrącone z jego ręki wyleciało w górę i spadło o kilka kroków dalej.

Życie Olafa zdane było na łaskę Oktawiusza; wystarczyło tylko pchnąć w siebie, aby go przeszyć na wylot. Twarz hrabiego skurczyła się, nie z obawy przed śmiercią, ale na myśl, że pozostawi żonę temu złodziejowi ciała, którego nic odtąd nie zdoła zdemaskować.

Zamiast korzystać ze swego położenia, Oktawiusz odrzucił szpadę i dając znak świadkom, żeby się nie mieszali do nich, podszedł do zdziwionego hrabiego, którego wziął pod ramię i zaciągnął w gęstwinę lasu.

— Czego pan chce ode mnie? — zapytał hrabia. — Dlaczego mnie pan nie zabił, mogąc to uczynić? Dlaczego nie chce pan podjąć walki, poczekawszy, aż podniosę szpadę, skoro nie chce pan dobić człowieka bezbronnego? Pan wie, że słońce nie może z nas obu rzucać cienia na piasek i że trzeba, aby ziemia pochłonęła jednego z nas.

— Proszę wysłuchać mnie cierpliwie — odparł Oktawiusz. — Pańskie szczęście jest w moich rękach. Mogę na zawsze zachować to ciało, w którym dzisiaj goszczę, a które jest pańską prawną własnością; podoba mi się przyznać to teraz, kiedy nie ma obok" nas Iwladków I kiedy tylko ptaki, co nie pójdą tego powtórzyć, mogą nas usłyszeć; gdybyśmy na nowo podjęli walkę, zabiłbym pana. Hrabia Olaf Łabiński, którego odgrywam najlepiej, jak tylko mogę, jest bieglejszy w szermierce niż Oktawiusz de Saville; żal by mi było zniszczyć jego powłokę, zamieszkiwaną obecnie przez pana, gdyż ta śmierć, aczkolwiek nierzeczywista, skoro moja dusza żyłaby dalej, doprowadziłaby do rozpaczy moją matkę.

Hrabia, uznając słuszność tych uwag, milczał, jak gdyby potakując.

— Bez mojej zgody — mówił dalej Oktawiusz — nigdy się panu nie uda wrócić do swojej indywidualności; widzi pan, jak się skończyły pańskie dwie próby. Po dalszych usiłowaniach uzyska pan tyle, że wezmą pana za monomana. Nikt nie uwierzy w pańskie twierdzenia i kiedy pan zacznie dowodzić, że jest pan hrabią Olafem Łabińskkn, każdy roześmieje się panu w twarz, jak pan już miał sposobność przekonać się o tym. Zamkną pana i resztę życia przepędzi pan na dowodzeniu pod tuszem, że jest pan istotnie małżonkiem pięknej hrabiny Łabińskiej. Współczujące dusze pożałują pana mówiąc: „Biedny Oktawiusz!” Będzie pan zapoznany jak Chabert Balzaka, który chciał dowieść, że nie umarł.

To było tak matematycznie prawdziwe, że zgnębiony hrabia opuścił głowę aż na piersi.

— Ponieważ jest pan na razie Oktawiuszem de Saville, musiał pan zapewne przeszukać jego biurko i przeglądnąć papiery;

dowiedział się pan niewątpliwie, że od trzech lat żywi on szaloną, beznadziejną miłość do hrabiny Praskowii Łabińskiej, miłość, którą na próżno usiłował wydrzeć z serca i która nie zgaśnie, chyba z jego życiem, o ile nie pójdzie z nim do grobu.

— Tak, wiem o tym — odparł hrabia, zagryzając usta.

— Otóż żeby dotrzeć do niej, użyłem okropnego, przerażającego sposobu, na jaki tylko obłędna namiętność mogła się zdobyć; doktor Cherbonneau pokusił się dla mnie o czyn, na jaki wzdrygnęliby się cudotwórcy wszystkich krajów i wszystkich czasów. Pogrążywszy nas obu w śnie, kazał za pomocą magnetyzmu zmienić naszym duszom powłokę. Zbyteczny cud! Oddam panu jego ciało: Praskowia nie kocha mnie! W postaci męża poznała duszę kochanka; spojrzenie jej zlodowaciało na progu sypialni, tak jak w ogrodzie willi Salviatich.

W głosie Oktawiusza zadrgała boleść tak prawdziwa, że hrabia uwierzył jego słowom.

— Ja jestem zakochany — dodał Oktawiusz z uśmiechem — ale nie jestem złodziejem, a ponieważ jedyne dobro, jakiego pragnąłem na tej ziemi, nie może należeć do mnie, nie widzę powodu, dla którego miałbym zatrzymać pańskie tytuły, zaniki, ziemie, pańskie pieniądze, konie i broń. Proszę, podaj mi pan ramię, przybierzmy minę pogodzonych, podziękujmy świadkom, weźmy z sobą doktora Cherbonneau i wróćmy do laboratorium magicznego, skąd wyszliśmy przekształceni; stary bramin potrafi odrobić to, co uczynił.

— Panowie — rzekł Oktawiusz, odgrywając jeszcze rolę hrabiego Łabińskiego — ja i mój przeciwnik uczyniliśmy sobie pewne zwierzenia, które dalszą walkę czynią zbyteczną. Między uczciwymi ludźmi nic tak nie rozjaśnia myśli jak skrzyżowanie szpad.

Hrabia Zamojecki i margrabia de Sepulveda wsiedli do swego powozu. Alfred Humbert i Gustaw Raimbaud pojechali drugim. Hrabia Olaf Łabiński, Oktawiusz de Saville i doktor Cherbonneau udali się pospiesznie na ulicę du Regard.

XII

Podczas jazdy z Lasku Bulońskiego na ulicę du Regard Oktawiusz de Saville rzekł do doktora Cherbonneau:

— Mój drogi doktorze, muszę raz jeszcze wystawić pańską wiedzę na próbę; trzeba, żeby nasze dusze wróciły do swego zwykłego mieszkania. Dla pana nie będzie to taką trudną rzeczą; hrabia Łabiński nie będzie się pewnie gniewał, że za pańską sprawą musiał zamienić pař peac na strzechę i umieścić swoją świetną osobę w moim skromnym indywiduum. Zresztą pan posiada taką władzę, że nie potrzebuje się obawiać żadnej zemsty.

Doktor Cherbonneau skinął potakująco i odezwał się: — Operacja będzie znacznie prostsza niż za pierwszym razem; niedostrzegalne włókna wiążące duszę z ciałem zostały niedawno zerwane i nie miały czasu nawiązać się, a wasza wola nie stawi tego oporu, jaki zazwyczaj człowiek magnetyzowany stawia magnetyzerowi. Hrabia Łabiński wybaczy z pewnością takiemu staremu uczonemu jak ja, że nie mógł oprzeć się pokusie spróbowania doświadczenia, do jakiego niewielu znalazłoby się 'kandydatów, zwłaszcza że próba ta stwierdziła najlepiej cnotę, która subtelność posuwa aż do jasnowidzenia i zwycięża tam, gdzie każda inna byłaby uległa. Jeśli pan zechce, może pan uważać tę przejściową transformację za dziwaczny sen, a później może nawet będzie pan zadowolony z osobliwego uczucia, znanego niewielu ludziom, uczucia przebywania w dwóch ciałach. Metempsychoza nie jest doktryną nową, ale przed wędrówką w inne życie dusze piją z czary zapomnienia i nie wszyscy, tak jak Pitagoras, mogą przypomnieć sobie, że uczestniczyli w wojnie trojańskiej.

— Szczęście powrotu do mojej osobowości — odparł grzecznie hrabia — starczy mi za przykrość, jakiej doznałem z wywłaszczenia mnie z niej, przez co nie chcę wcale dotknąć pana de Saville, którym jeszcze jestem, a którym wkrótce przestanę być.

Oktawiusz uśmiechnął się ustami hrabiego Łabińskiego, słysząc te słowa dochodzące do niego poprzez obcą powłokę, po czym cisza zapanowała wśród tych trzech ludzi, którym nienaturalna sytuacja utrudniała wszelką rozmowę.

Biedny Oktawiusz rozmyślał o swych rozwianych nadziejach, a myśli te, jak można się domyślić, nie były bardzo różowe. Jak wszyscy odepchnięci kochankowie pytał się, dlaczego nie był kochany, jak gdyby w miłości istniało jakieś „dlaczego”!

Jedyną przyczyną, jaką można by tutaj podać, jest: „bo tak”, odpowiedź logiczna w swej upartej zwięzłości, którą kobiety posługują się we wszystkich kłopotliwych zagadnieniach. Tymczasem uznawał się za zwyciężonego i czuł, że sprężyna jego życia, naciągnięta na chwilę przez doktora Cherbonneau, pękła ponownie i wydawała szmery podobną do tych , które wydaje sprężyna zegarka upuszczonego na ziemię. Oktawiusz nie chciał sprawić matce bólu samobójstwem i szukał spokojnego miejsca, gdzie by mógł zgasnąć w cierpieniu nie znanym pod nazwą jakiejś prawdopodobnej choroby. Gdyby był malarzem, poetą albo muzykiem, może skrystalizowałby swój ból w arcydziełach, gdzie Praskowia, okryta białą szatą, z wieńcem gwiazd, podobna do Beatryczy Dantego, unosiłaby się nad jego natchnieniem jak anioł świetlany; ale jak już powiedzieliśmy na początku tej powieści, Oktawiusz, chociaż inteligentny i wykształcony, nie należał do tych umysłów wybranych, co pozostawiają na tym świecie ślady swej wędrówki. Dusza jego, ukrycie wzniosła, nie umiała nic więcej jak tylko kochać i umrzeć.

Powóz wjechał na dziedziniec starego pałacu przy ulicy du Regard, na dziedziniec zarośnięty trawą zieloną, gdzie kroki odwiedzających utorowały ścieżkę i na który wysokie szare mury rzucały zimny cień, jak ten, co pada od arkad

klasztornych. Cisza i nieruchomość warowały na progu jak dwa niewidzialne posągi, czuwające nad kontemplacją uczonego.

Oktawiusz i hrabia wysiedli z powozu, a doktor przesadził stopień skokiem lekkim, jakiego nikt by się nie był spodziewał, zważywszy jego wiek, i nie oparł się wcale na ramieniu, które podawał mu kamerdyner z tą grzecznością, z jaką służba w wielkich domach odnosi się do osób słabowitych lub starszych. Skoro podwoje zamknęły się za nimi, Olaf i Oktawiusz znaleźli się w tej gorącej atmosferze, która przypominała doktorowi klimat indyjski i gdzie jedynie mógł lekko oddychać, ale które dusiło niemal ludzi nie palonych, tak jak on, przez trzydzieści lat słońcem podzwrotnikowym. Inkarnacje Wisznu wykrzywiały się ciągle w swych ramach, cudaczniejsze jeszcze w dzień niż przy sztucznym świetle. Sziwa, bożek niebieski, śmiał się szyderczo na swoim postumencie, a Durga, gryząc stwardniałe wargi zębami dzika, zdawał się poruszać różańcem z czaszek. W mieszkaniu panował ciągle nastrój pełen tajemniczości i czarnoksięstwa.

Doktor Baltazar Cherbonneau zaprowadził swoich gości do pokoju, gdzie dokonała się pierwsza transformacja; poruszył szklany dysk machiny elektrycznej i pręty żelazne cebrzyka mesmerycznego, otworzył kaloryfery dla podniesienia temperatury, przeczytał parę wierszy z papirusów tak szacownych, że wyglądały jak stara kora gotowa rozsypać się na kawałki, i po upływie kilku minut odezwał się do Oktawiusza i do hrabiego:

— Jestem gotów, panowie; czy mam zacząć?

Podczas gdy doktor zajęty był tymi przygotowaniami, przez umysł hrabiego przebiegało mnóstwo niepokojących myśli:

„Kiedy zasnę, co uczyni z moją duszą ten czarnoksiężnik o twarzy koczkodana, który równie dobrze mógłby być diabłem we własnej osobie? Czy zwróci ją mojemu ciału, czy też porwie ją z sobą do piekła? Czy ta zamiana, co ma mi oddać moją własność, nie jest jakąś nową zasadzką, podstępem makiawelskim dla jakichś guseł, których celu nie znam? Mimo to położenie moje nie może się pogorszyć, Oktawiusz posiada

moje ciało i jak słusznie powiedział dzisiaj z rana, gdybym się przyznawał do niego w mojej obecnej postaci, naraziłbym się na zamknięcie w szpitalu wariatów. Gdyby chciał pozbyć się mnie, wystarczyłoby mu pchnąć ostrzem szpady; byłem bezbronny, zdany na jego łaskę; sprawiedliwość ludzka nie miałaby mu nic do zarzucenia: pojedynek był zupełnie w porządku i wszystko odbyło się wedle przepisów. Odwagi! Pomyślmy o Praskowii! Precz z obawą dziecinną! Spróbujmy jedynego środka, który mi pozostaje do zdobycia jej!”

I podobnie jak Oktawiusz ujął żelazny pręt, wskazany mu przez doktora Cherbonneau.

Spiorunowani przewodami metalowymi, naładowanymi do najwyższego stopnia fluidem magnetycznym, obaj młodzi ludzie popadli natychmiast w omdlenie tak głębokie, że dla nie wtajemniczonych osób mogło wydawać się śmiercią; doktor uczynił parę ruchów, dopełnił obrządku, wygłosił jak za pierwszym razem kilka wierszy i wkrótce nad Oktawiuszem i nad hrabią ukazały się drżąc i świecąc dwie iskierki; doktor poprowadził do dawnego mieszkania duszę hrabiego Olafa Łabińskiego, która spiesznie poszybowała za gestem magnetyzera.

Tymczasem dusza Oktawiusza oddalała się z wolna od ciała Olafa i zamiast udać się do swego mieszkania, wznosiła się coraz wyżej i wyżej, uradowana wolnością i jak gdyby nie troszcząc się wcale o powrót do swego więzienia. Doktor uczuł litość dla tej Psyche bijącej skrzydłami i pomyślał sobie, czyby to było dobrodziejstwem sprowadzać ją na tę dolinę smutków? Podczas owej chwili wahania dusza wzbijała się coraz wyżej. Pamiętny swej roli, doktor Cherbonneau powtórzył nakazującym tonem niepokonaną sylabę i wykonał ruch pełen piorunującej woli, ale drżący płomyk był już poza strefą działania i znikł, przebywszy górną szybę okna.

Doktor zaprzestał wysiłków, o których wiedział, że są nadaremne, i obudził hrabiego. Ujrzawszy w lustrze swoje zwyczajne rysy, Olaf Łabiński krzyknął z radości, spojrzał na nieruchome ciało Oktawiusza, jak gdyby chcąc się przekonać, że

raz na zawsze pozbył się tej powłoki, i wybiegł, pozdrawiając ręką doktora Cherbonneau.

Po chwili dał się słyszeć pod sklepieniem turkot powozu i doktor Baltazar Cherbonneau pozostał sam na sam z trupem Oktawiusza de Saville.

— Na trąbę Ganeshy! — zawołał po odjeździe hrabiego uczeń bramina z Elefanty. — Co za przykra historia! Otwarłem klatkę, ptak uleciał i jest już poza sferą tego świata, tak daleko, że nawet sam pokutnik Brahma-Logum nie potrafiłby go pochwycić, ja zaś zostałem z jego ciałem na karku. Mógłbym je rozpuścić w jakiejś gryzącej cieczy, tak mocnej, że nie pozostałoby z niego ani śladu, mógłbym także uczynić z niego w przeciągu kilku godzin mumię faraona, podobną do tych, co spoczywają w skrzyniach pokrytych pstrymi hieroglifami, ale zaraz zaczęto by śledztwo, poprzetrząsano moje mieszkanie, otwarto kufry, a mnie zmuszono do odpowiadania na nudne pytania…

W tym miejscu nadzwyczajna myśl przemknęła przez umysł doktora; chwycił za pióro i napisał parę zdań na ćwiartce papieru, którą schował do szuflady.

Papier ten zawierał następujące słowa:

Nie mając ani krewnych, ani powinowatych, przekazuję całe moje mienie Oktawiuszowi de Saville, dla którego żywię serdeczną przyjaźń, i proszę go o wypłacenie legatu stu tysięcy franków szpitalowi bramińskiemu na Cejlonie dla starych i chorych zwierząt oraz tysiąca dwustu franków renty rocznej mojemu służącemu hinduskiemu i angielskiemu, a także o złożenie w bibliotece Mazarine rękopisu praw Manu.

Ten testament, uczyniony przez człowieka żyjącego na rzecz zmarłego, nie jest najdziwaczniejszą rzeczą w tym niezwykłym, a jednak prawdziwym opowiadaniu, ale ta osobliwość zaraz się wyjaśni.

Doktor Cherbonneau dotknął ciała Oktawiusza, z którego ciepło życia jeszcze nie uleciało, zbliżył się do lustra i z wyrazem dziwnej wzgardy spojrzał na swoją twarz pomarszczoną, wygarbowaną i chropowatą jak skóra jaszczura,

po czym uczyniwszy ruch podobny do tego, jaki się czyni zrzucając stare ubranie, kiedy krawiec przynosi nowe, wyszeptał formułę pokutnika Brahma-Logum.

Ciało doktora Baltazara Cherbonneau runęło natychmiast na ziemię, jakby piorunem rażone, a ciało Oktawiusza de Saville podniosło się zdrowe, silne i żwawe.

Oktawiusz Cherbonneau przystanął na chwilę przed tym chudym, kościstym i sinym zewłokiem, co nie podtrzymywany przez silną duszę, ożywiającą go przed minutą, przybrał natychmiast oznaki wielkiej starości i wygląd trupi.

— Żegnaj mi, biedny łachmanie ludzki, nędzny strzępie, przedziurawiony na łokciach, zużyty na wszystkich szwach, który przez siedemdziesiąt lat włóczyłem po całym świecie! Służyłeś mi dobrze i żal mi trochę rozstać się z tobą. Przyzwyczailiśmy się do siebie, żyjąc tak długo razem! Ale pod tą nową postacią, którą wiedza moja uczyni wkrótce silną, będę mógł studiować, pracować i poczytać jeszcze trochę w wielkiej księdze, zanim śmierć zamknie ją na najciekawszym rozdziale mówiąc: „Dość tego!”

Skończywszy tę żałobną mowę, zwróconą do siebie samego, Oktawiusz Cherbonneau wyszedł lekkim krokiem, aby objąć w posiadanie swą nową egzystencję.

Olaf Łabiński powrócił do swego pałacu i zaraz zapytał, czy hrabina może go przyjąć.

Zastał ją siedzącą na ławce z mchu w cieplarni, której kryształowe tafle, podniesione do połowy, przepuszczały ciepłe i świetliste powietrze pośród prawdziwie dziewiczego lasu egzotycznych i podzwrotnikowych roślin; czytała Noyalisa, jednego z najsubtelniejszych, najosobliwszych i najbardziej niematerialnych autorów, jakich wydał duch niemiecki; hrabina nie lubiła książek malujących życie silnymi i rzeczywistymi barwami; życie wydawało jej się trochę pospolite, gdyż przebywała ciągle w świecie elegancji, miłości i poezji.

Praskowia odrzuciła książkę i z wolna podniosła oczy na hrabiego. Bała się, że i tym razem ujrzy w czarnych źrenicach

męża ten wzrok palący, namiętny, pełen ukrytych myśli, który dotknął ją tak przykro i który — szalone przeczucie, dziwne zwidywanie — wydawał jej się wzrokiem innego!

W oczach Olafa pogodna radość błyszczała równym płomieniem szlachetnej i czystej miłości; obca dusza, która zmieniła wyraz jego twarzy, uleciała na zawsze; Praskowia rozpoznała natychmiast swego ukochanego Olafa i nagły rumieniec szczęścia pokrył jej jasną twarz. Chociaż nie wiedziała o transformacjach dokonanych przez doktora Cherbonneau, jej subtelność mimozy przeczuła bezwiednie wszystkie te zmiany.

— Co czytasz, moja droga? — zapytał Olaf, podnosząc z mchu książkę oprawną w niebieski safian. — Ach, historia Henryka von Ofterdingen! To ten sam tom, po który popędziłem co koń wyskoczy do Mohylewa w dniu, kiedy przy stole wyraziłaś życzenie posiadania go. O północy leżał już na twoim stoliczku obok lampy, ale Ralf pozostał dychawiczny!

— A ja ci odpowiedziałam, że już nigdy nie objawię przed tobą żadnej zachcianki. Podobny jesteś do tego granda hiszpańskiego, który prosił swoją kochankę, ażeby nie patrzała na gwiazdy, ponieważ nie może ich ofiarować jej.

— Gdybyś spoglądała na jakąś gwiazdę — odparł hrabia — postarałbym się dostać aż do nieba i poprosić o nią Pana Boga.

Słuchając tego, co mówił mąż, hrabina odrzucała jeden zbuntowany splot warkoczy, który połyskiwał jak płomień w złocistym promieniu. Przy tym ruchu zsunął się rękaw i odsłonił piękne jej ramię, otoczone bransoletą w kształcie jaszczurki wysadzaną turkusami, tą samą, którą miała na sobie w dniu ukazania się w Cascine, tak fatalnym dla Oktawiusza.

— Jakiego strachu nabawiła cię ta biedna jaszczurka, którą zabiłem uderzeniem szpicruty w dniu, kiedy po raz pierwszy zeszłaś do ogrodu na moje usilne prośby! Kazałem ją odlać w złocie i ozdobić drogimi kamieniami, ale nawet jako klejnot wydawała ci się zawsze przerażająca i dopiero po pewnym czasie zdecydowałaś się nosić ją.

— O, teraz już się zupełnie przyzwyczaiłam i jest to nawet mój ulubiony klejnot, gdyż przywodzi mi na pamięć bardzo drogie wspomnienia.

— Tak — odparł hrabia — tego dnia postanowiliśmy, że nazajutrz oficjalnie poproszę ciotkę o twoją rękę.

Hrabina, odnajdując wzrok i akcent prawdziwego Olafa, wstała, uspokojona zresztą tymi poufnymi szczegółami, uśmiechnęła się do męża i oparłszy się na jego ramieniu, przeszła się po cieplarni, wolną ręką zrywając kwiaty, które podnosiła do świeżych swych ust jak Wenus Schiavona, gryząca róże.

— Skoro masz dzisiaj tak dobrą pamięć — odezwała się, rzucając kwiat, który gryzła swymi perłowymi zębami — to może odzyskałeś możność posługiwania się językiem ojczystym… którego nie pamiętałeś wczoraj.

— Och! — odparł hrabia po polsku — jest to język, którym dusza moja przemówi w niebie, aby ci powiedzieć, że cię kocham, jeżeli dusze w raju używają mowy ludzkiej.

Praskowia idąc pochyliła lekko głowę swą na ramię Olafa.

— Droga duszo — szepnęła — znów jesteś takim, jakim cię kocham. Wczoraj przejmowałeś mnie obawą i odsunęłam się od ciebie jak od kogoś obcego.

Nazajutrz Oktawiusz de Saville, ożywiony duchem starego doktora, otrzymał list z czarnymi obwódkami, zapraszający go na nabożeństwo żałobne i na pogrzeb Baltazara Cherbonneau.

Doktor Cherbonneau, odziany w nową postać, poszedł odprowadzić na cmentarz dawną swoją powłokę, ujrzał, jak go chowają, wysłuchał ze skupieniem mów wygłoszonych nad jego trumną, gdzie podnoszono niepowetowaną stratę, jaką poniosła nauka, po czym powrócił na ulicę Saint-Lazare i czekał na otwarcie testamentu, zrobionego na swoją korzyść.

Tego dnia przeczytano w kronice w dziennikach wieczornych:

Doktora Baltazara Cherbonneau, znanego ze swego długiego pobytu w Indiach, ze swych wiadomości filologicznych i cudownych uzdrowień, znaleziono wczoraj zmarłego w jego

pracowni. Dokładne zbadanie ciała wyklucza wszelkie podejrzenia o zbrodnię. Doktor Cherbonneau umarł zapewne wskutek nadmiernego wysiłku umysłowego albo zginął jako ofiara jakiegoś śmiałego doświadczenia. Mówią, że własnoręczny testament, znaleziony w biurku doktora, przekazuje nadzwyczaj cenne rękopisy bibliotece Mazarine, a spadkobiercą czyni pana O. de S., młodego człowieka pochodzącego ze znanej rodziny.

Spis treści

I
II
III
IV
V
VI
VII
VIII
IX
X
XI
XII